

nr 2552 / 1981 / 1-25

W NUMERZE: Alfred Siatecki - o prowincjonalnych układach we władzy, str. 6-7
◆ **Krzysztof Woch - o krypto - talonach na samochody, str. 8 - 9** ◆ **Maria Bechcycz-Rudnicka - o „Maskaradzie” str. 10** ◆ **Ireneusz J. Kamiński - o losie „Bosego”, str. 11**

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 6 XII 1981 NR 25 (745)

DWUTYGODNIK SPOLECZNO-KULTURALNY PL ISSN 0137-7103

CENA 7 ZŁ



Fot. Waldemar Stępień

Nadal, choć wolniej, buduje się Lubelskie Zagłębie Węglowe. Czego spodziewają się po nim mieszkańcy Łęcznej — czytaj na str. 3

DZIEL I PLANUJ!

Henryk Pająk

NA wstępie tych uwag dotyczących powodów i skutków reformy administracyjnej kraju z połowy lat 70-tych, dokonanej przez ekipę Edwarda Gierka na półmetku jego pontyfikatu, trzeba od razu zastrzec, że, poza drobnymi poprawkami terytorialnymi, powrót do dawnej struktury powiatowo-wojewódzkiej już nie ma. Nie można włączyć wstecznego biegu gigantycznemu wysiłkowi, jaki włożono w reformę. Nie można postawić na dwuletni (co najmniej) chaos reorganizacyjny.

Można natomiast rozważyć, co zresztą nie nie kosztuje, liczne pouczające na dziś komplikacje i skutki osławionej reformy. Atomizacja 17 organizmów wojewódzkich na 49 ni-to powiatów, ni-to województw, spędza teraz sen z powiek planistów centralnych i regionalnych. Nie tylko zresztą im.

Wtedy, przed siedmiu laty, tylko nieliczni zdawali sobie sprawę z faktycznej nadrzędności politycznych i taktycznych przesłanek tej atomizacji. Dziś już wiadomo, że istniejący wówczas system podziału administracyjnego kraju został w istocie poddany tym samym manipulacyjnym zabiegom, jakim poddano całą infrastrukturę społeczno-polityczną kraju. Chodziło, krótko mówiąc, o rozbitcie 17 udzielnych księstw wojewódzkich na trzykrotnie więcej nie liczących się jednostek, niesamodzielnych i niewystarczających gospodarczo, lojalnych personalnie wobec centrali. Divide et impera — dziel i panuj — ta starożytna zasada jeszcze raz odżyła w motywacjach przywódcy, który już na początku swojej misji miał obiecać, że z daw-

Dokończenie na str. 8-9

Lubelski Październik

Stanisław Jadczyk

„CO STALO SIĘ w naszym kraju? Mówią najprościej i najjaśniej, trzeba chyba stwierdzić, że dokonała się u nas po prostu rewolucja” — pisali w tygodniku „Po prostu” z 28 października 1956 r. Ryszard Turcki i Eligiusz Lasota.

Październik dokonał się w całej Polsce; wydarzenia koncentrowały się w Warszawie, ale i na prowincji były miejsca zapalne: Kraków, Wybrzeże, Lublin.

Starsi pamiętają: ludziom żyło się źle, biednie. Przeciętna płaca w 1956 r. wynosiła 1109 zł, bochenek chleba kosztował 3 zł, kilogram kiełbasy zwyczajnej 26 zł, butelka wódki 34,10 zł, gazeta „Sztandar Ludu” — 20 gr, garnitur z wełny — 2250 zł, radio 1950 zł. Na Lubelszczyźnie w okresie planu 6-letniego zbudowano ponad 500 różnych obiektów gospodarczych, w tym sztandarowe inwestycje socjalizmu: PSC, WSK, KFWM, „Ede”, ale jednocześnie brakowało miejsc pracy w mia-

stach i osadach, brakowało pracy dla kobiet. Szwankowała sama organizacja pracy i stosunki międzyludzkie w zakładach. Plany wykonywano pod koniec miesiąca, zmuszając robotników do roboty po 16 godzin na dobę i więcej (tak było m.in. w LFM, Lubelskiej Fabryce Wag, PKP).

W czasie planu 6-letniego oddano w województwie 20 tys. izb mieszkalnych, ale było to o wiele za mało w stosunku do potrzeb. Np. w Lublinie, liczącym w 1956 roku 142 tys. mieszkańców, zbudowano w sześciolatce 7 tys. izb mieszkalnych, podczas gdy miastu przybyło wówczas 37 tys. nowych obywateli. Tylko w jednym półroczu 1956 r. Lublin powiększył się o 8 tys. osób — ciasnota w mieszkaniach stała się straszna.

Ciężko i biednie żyło się też na wsi lubelskiej. Wprawdzie w okresie sześciolatki zagospodarowano zdewastowane po II wojnie tereny w południowo-wschodnich powiatach Lubelszczyzny, i to był sukces, ale jednocześnie forsowna, prowadzona

na siłę kolektywizacja wsi nie sprzyjała ani wzrostowi produkcji rolnej, ani kształtowaniu odpowiednich stosunków między władzą a obywatelem. Na Lubelszczyźnie, gdzie powstały pierwsze w Polsce rolnicze spółdzielnie produkcyjne, opór wsi przeciwko ich zawiązywaniu był bodaj najsilniejszy.

Wypaczenia i deformacje socjalizmu uzewnętrzniały się brutalnie w łamaniu praworządności. Represje dotyczyły akowców, środowisko bardzo liczne w regionie, które w większości włączyło się w latach 1944-46 w budowę nowej Polski, pracując uczciwie i rzetelnie, choć nie bez urazy spowodowanej dramatycznym finałem działalności 27, 3 i 9 dywizji AK na terenie Lubelszczyzny. Represjonowano także partyzantów GL i AL, oskarżanych o prawicowo-nacjonalistyczne odchylenie i współpracę z „bandami AK”. Powodowali do wzięcia tak znani w Lubelskiem dowódcy oddziałów partyzanckich, jak Grzegorz Korczyński czy Jan Wyderkowski. Przeciwników socjalizmu szukano w środowisku działaczy KPP i PPS, wśród spółdzielców. Wielkim wstrząsem dla mieszkańców województwa było aresztowanie w 1953 roku prymasa Polski, kardynała Stefana Wyszyńskiego, byłego biskupa lubelskiego, człowieka po-

Dokończenie na str. 4-5

Dlaczego zostanie ekstremistą?

PODOBNO najwyższą cenę wśród kaniabali osiąga mózg ekonomistów polskich. Argumentują oni (tzn. kaniabale, a nie ekonomiści), że trzeba strasznie się nalupać, żeby uzyskać kilogram takiego mózgu.

Ta i inne, niekiedy równie brutalne, anegdoki oddają stosunek społeczeństwa do mojej specjalności. Bronimy się wprawdzie, tłumacząc, iż nie ekonomiści kierowali naszą gospodarką (mimo, że niektórzy jej kierownicy byli profesorami ekonomii). Jest to jednak tłumaczenie słabe. Albowiem kilkanaście milionów ludzi mogło w telewizji oglądać uczonych komentatorów wstawiających społeczeństwu, że je za dużo mięsa, za dużo zarabia i nie docenia dalszego dynamicznego rozwoju. Niestety, wielu przedstawicieli tego starożytnego zawodu, który istnieje od czasów, gdy Fenicjanie wymyślił pieniądź, dorabiali sobie jeszcze starszą, koryncką profesję. Stąd mała wiarygodność wszystkich ekonomistów.

To się jednak zaczyna zmieniać. Powstanie Społeczny Komitet Reformy Gospodarczej, Federacji Konsumentów, ekspertyza „zespołu dziewięciu”, aktywizacja PTE z wolną przyczynia się do odbudowy prestiżu środowiska ekonomicznego.

Działania pozytywne bardzo cieszą. Ale jeszcze bardziej uradował mnie krótki minutowy komentarz w DTW. Myśl zawarta w nim da się streścić następująco. Nie należy bawić się w żadne konsultacje ze społeczeństwem, lecz zaraz, korzystając z uprawnień PCK, podnieść ceny — gdyż w gruncie rzeczy społeczeństwo niczego bardziej nie pragnie jak tylko tego, żeby szynkę kupować po 500 zł. Zapytacie Państwo, co mnie tak cieszy w tej wypowiedzi? To, że nie wygłosił jej żaden prof. dr nauk ekonomicznych, lecz nieoceniony KTT. Możemy być dumni, że tym razem nie był to nikt z nas, spadkobierców Smith'a, Marksa, Keynesa i Langego. Należy nam się gratulacje.

Cieszy również działalność sekretarza generalnego PTE. Ten młodo wyglądający, przystojny, zawsze bardzo elegancki człowiek, z nieodłącznym orzełkiem legionowym w klapie, dwój się i trój w walce o autentyczną reformę polskiej gospodarki. Myślę, że kilka jego wystąpień telewizyjnych uczyniło niemal (zwłaszcza w oczach pań) dla uwiarygodnienia ekonomii polskiej. Ostatnio z poglądami doc. Krawczyka zapoznać się mogli czytelnicy „Słowa Powszechnego” (nr 212). Zakierowanych odsyłam do tego pasjonującego tekstu, a sam skorzystam jedynie z potrzebnego mi końcowego wniosku. R. Krawczyk twierdzi — i trudno nie przyznać mu racji — że obecna sytuacja gospodarcza powodowana jest przede wszystkim czynnikami politycznymi. Wiąza się one ze swoistą alienacją władzy, która całkowicie niemal utraciła społeczny autorytet. W efekcie nawet słuszne jej poczynania nie uzyskują poparcia społecznego i pozostają zbiorem pobożnych życzeń. A zatem kluczem do wyjścia z kryzysu jest znalezienie sposobu uwiarygodnienia władzy.

I tak od wiarygodności ekonomistów przeszliśmy do wiarygodności władzy. Z grubsza wszyscy są zgodni z zaprezentowaną tezą. Wszyscy chcą autorytet ten powiększać. Kłopoty pojawiają się w tym, że nie wszyscy w ten sam sposób. Jedni ekstremiści proponują zamknięcie „Solidarności”, drudzy, zamknięcie tych, co zgłaszają takie propozycje. Tym pierwszym ładnie — i jedyną — odpowiedział sekretarz KC Zb. Michalek — „Zamykamy KKP, cały region, i jeszcze komisje zakładowe, a my wtedy wchodzimy z członkami partii? Na cholere nam wtedy członkowie partii, samo Biuro Polityczne wystarczy”. Tych, którzy chcą zamknąć tych, co chcą zamykać „Solidarność” można pocieszyć, że może i tak będzie. Bo jeżeli „Rzeczywistość” (nr 22) sugeruje, iż członek Biura Politycznego prof. Kubiak jest agentem CIA, to należy przypuszczać, że obrazi się nie tylko ta — skądinąd potężna — organizacja.

Jeszcze inną koncepcję odzyskiwania wiarygodności przez władzę lansuje Zembaty. Pan Maciej twierdzi, że społeczeństwo uwierzy władzy jedynie wtedy, gdy władza je pokocha. A zatem władza musi być pełna miłości i zabiegać o nasze względy jak — nie przypominając — Filon o Laurę. Nie wiem, czy władze, ale mnie Zembaty przekonał. Toteż zadowolony tym, że istnieje wyjście z koszmarniej sytuacji, poszedłem spać.

Nad ranem miałem sen. Śniłem, że oglądam dziennik telewizyjny, co już samo w sobie było straszne. Na dodatek po chwili uroczą spikerkę zastąpił rzecznik prasowy rządu, który wyznał mi miłość. Obudziłem się z krzykiem, cały zny z potem. To jednak nie jest rozwiązanie!

I dlatego zostanie ekstremistą. Chyba, że w imieniu władzy miłość wyzna mi pan docent Rafał Krawczyk.

czwartek

Kamena str. 2

24 XI. Strajki w szkołach, strajki na uczelniach. M. in. żądania: nie fałszować historii! Jestem za tym również, bo sporo mamy do odrobienia. Na początek proponuję jednak lekturę tekstu Franciszka Gila, pisarza i publicysty, przed wojną osiadłego we Lwowie, po wojnie w Szczecinie (znałem go zresztą osobiście). Tekst ten ukazał się w 1939 roku na łamach lwowskich „Sygnałów”, redagowanych przez Karola Kuryluka. Brak miejsca nie pozwala mi na opublikowanie całości, nie mniej będziemy wiedzieli, o co chodzi.

Gil pisze, że 27 marca 1939 roku złożył do Starostwa Grodzkiego podanie z prośbą o udzielenie mu pozwolenia na posiadanie broni „ponieważ dnia 18 listopada 1938 r. wpisał się na I rok Wydziału Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza”. A oto uzasadnienie szczegółowe:

„Uniwersytet Jana Kazimierza mieści się w gmachu dawnego sejmiku galicyjskiego. Korytarze jego są kręte i ciemne, większość okien wychodzi na przeciwległe ściany, w zakładach przez cały dzień pali się światło. W tych ciemnych korytarzach, w hallu, kłozetach, na salach wykładowych bojówki Młodzieży Wszechpolskiej (organizacja endecka — MAJ) biją od kilku lat studentów nie solidaryzujących się z akcją lub poglądami szerzonymi przez tę organizację. Ponieważ bojówki uzbrojone w kaski, okute palki, noże, napadają zwracając grupą na pojedynczych studentów, nie istnieje żadna możliwość fizycznej obrony. Gmach na podstawie ustawy o szkołach akademickich jest eksterytorialny, policja nie ma prawa wstępu w jego obręb, rektorzy nawet w razie zaistnienia konieczności nie wzywają jej pomocy, służba porządkowa (woźni) jest sterroryzowana i niedostateczna, wobec bojówek i napadów zachowuje się całkowicie biernie, a nawet z sympatią. Wykrycie sprawców napadu jest trudne, dla władz uniwersyteckich wprost niemożliwe, bowiem na skutek panującej od lat na uczelni psychozy terroru, nigdy nie ma świadków zjawiska. [...] W roku szkolnym 1937/38 na dziedzińcu uniwersyteckim został dwukrotnie pobity student medycyny, Janusz Wójcikowski. Wójcikowskiemu groziła przez pewien czas utrata życia, sprawcy pozostali nie wykryci. Bojówka endecka zruciła dwukrotnie ze schodów studentkę Marię Federerówną, a na ul. Kopernika pobiła studentkę Teresę Cislówkę [...]. Pobito ciężko studenta Jerzego Lerskiego-Soltyśnika, zadając mu pięć ran ciętych w głowę, w sprawie tej toczy się proces w Sądzie Okręgowym we Lwowie. W roku szkolnym 1938/39 w pierwszym roku studiów penta przebito nożem na korytarzu studenta Czesława Raczkowskiego, członka Polskiej Akademii Młodzieży Ludowej. Pobito studentkę Irenę Lempicką, zamordowano na dziedzińcu uniwersyteckim studenta Zełmeyerera (a na politechnice Prowellera), postrzelono w czasie blokady studenta Zbigniewa Briknera. Sprawców tych wszystkich przestępstw dotychczas nie wykry-

to. [...] Ostatnio dokonała bojówka Młodzieży Wszechpolskiej napadu na odczyt naukowy dr. Szczotki, zorganizowany przez młodzież ludową, raniąc ciężko kilka osób i jednej odgryzając palec.

W obrębie zatem gmachu UJK nie może być pewny bezpieczeństwa zdrowia i życia nawet student stojący z daleka od wszelkich organizacji politycznych i zajmujący się jedynie pracą naukową. Przytoczone przypadki morderstw oraz ciężkich uszkodzeń ciała mają charakter jedynie przykładowy, wyliczenie wszystkich aktów terroru i gwałtu dokonanych na studentach i studentkach, posiadających odmienne poglądy polityczne, jest wobec olbrzymiej masy materiału fizycznie niemożliwością. [...] Na Uniwersytecie Jana Kazimierza [...] elementarne bezpieczeństwo życia i zdrowia [...] zapewnić może jedynie broń palna lub groźba jej użycia...”

Komentarz zbyteczny. A swoją drogą, kiedy zna się niezafałszowaną przeszłość Polski, nie już nie może zdziwić!

26 XI. Namnożyło się różnych biuletynów, a tu nawet na prasę z „oficjalnego obiegu” czasu nie starcza. Oto ktoś mi przesał „Monolog” — pismo Niezależnego Zrzeszenia Studentów Politechniki Lubelskiej z kilkoma zakreślonymi zdaniem. Cytuję je:

„Państwo jest instytucją powołaną historycznie dla zabezpieczenia praw człowieka i jego pracy. Sens jego istnienia określony jest dążeniem do dyscypliny i egalitaryzmu społecznego, do zabezpieczenia naturalnych praw jednostki. Oznacza to, że gdy czyjeś poglądy filozoficzno-moralne wykluczają pracę, państwo ma obowiązek bezinteresownego zapewnienia warunków dla normalnej egzystencji, a nie karania i obrzucania obelgami...”

Autorem tej myśli jest p. Robert J. Jurek.

Szanowny Panie Jurku! Przytoczony tekst przeczytałem kilkakrotnie. Jest on nieco zawilży, ale wynika z niego czarno na białym, że państwo ma obowiązek bulić forsę na każdego lenia. Co jednak się stanie, jeśli całe społeczeństwo będzie miało „poglądy filozoficzno-moralne” wykluczające pracę? Państwo ma wówczas zebrać o pomoc w Zanzibarze?

Papier jest cierpliwy, przyjmie każdą bzdurę, ale nawet od studenta politechnika należałoby wymagać odrobiny logiki! (Co do „karania i obrzucania obelgami” to inna sprawa, chociaż są na świecie państwa, które wprowadziły obowiązek pracy...)

28 XI. Nie zbiorę tylu listów, co M. F. Rakowski i z pewnością nie wydam ich w książkę, ale muszę wyrazić zadowolenie, że ostatnio, zwłaszcza gdy zacząłem pisywać felietony („Był nie po oczach”) w „Sztandarze Ludu”, liczba ich wyraźnie wzrosła. Cieszy to autora, bo najgorzej jest wówczas, kiedy napotyka na mur chętności. A przecież i *hostis honoris invidiam!* Gwoli ścisłości więcej jednak listów przychodzi od przyjaciół — ludzi zupełnie mi nieznanych, którzy aprobuja moje myśli, a niekiedy zachęcają do zastrzeżenia tonu: „Proszę zdjąć z rąk te białe rękawiczki — stwierdza p. Antoni Zablocki. — Są czasy, kiedy trzeba pisać bez ogródek i piętnować siewców anarchii. Pan jest ciągle zbyt delikatny!” Ba! Staram się raczej nie stawiać kropki nad „i”, dając ludziom ma-

Wzrost do przemyśleń. Takie też miałem intencje pisząc ostatni felieton w „Sztandarze Ludu”, w którym między wierszami dałem wyraz dezaprobachce akcją strajkowym w szkołach. P. Anatoliusz Jamiński nie owija jednak słów w bawełnę i stawia sprawę jasno: „Zgłaszam — pisze — stanowczy protest przeciwko tolerowaniu przez władze szkolne posługiwania się niektórymi osobami z „Solidarności” flagami o barwach narodowych i państwowych dla wspierania akcji strajkowych w kraju. W szczególności protestuję przeciwko samowolnym dekorowaniom flagami narodowymi budynków szkolnych z okazji strajków, przeciw angażowaniu młodzieży do akcji strajkowej w obecnej sytuacji, w jakiej znajduje się nasz kraj. Nie ma to nic wspólnego z budzeniem uczuć patriotycznych, a przeciwnie — prowadzi do otumanienia politycznego i demoralizacji młodego pokolenia! Nul admirandam!

Są wśród listów i takie, o których chciałoby się powiedzieć, absit dicto invidiam! Ale to na razie tylko pobożne życzenia.

Rzecz zrozumiała, że najbardziej cenię listy — niezależnie od ich treści — podpisane imieniem i nazwiskiem — z adresem. Ale zdarzało się, że kiedy pod wskazany adres pisałem, poczta zwracała korespondencję z dopiskiem „adresat nieznaną”. Aż dziw, skąd dzisiaj ów brak odwagi? Nie wiem również, dlaczego tak nieczytelnie podpisało się na maszynopisie dwóch panów, mieszkańców Lublina, którzy, jak twierdzą, interesują się zazwyczaj ważnymi w życiu Lublina zdarzeniami oraz publiczną działalnością osób, „które na to życie wywierają zauważalny wpływ.” Czuje się zaszczycony, że właśnie z tych względów jak znaczący, śledzą również i moją działalność, także publicystyczną. Z załączonej do listu kserokopii wynika, że interesuje ich również moja młodzieńcza twórczość poetycka. *Nemo est mortalium, quae sapiat omnibus horis...* I dlatego nie wypieram się wiersza napisanego po zgonie Józefa Winszariłowicza, zwłaszcza, że znajduję się w gronie wielu wybitnych twórców kultury polskiej, którzy w swoim czasie tej postaci poświęcili swoje utwory. Radzę poszperać w bibliotekach — cóż za wspaniałe znalezienie, panowie, narzekal! Sami się zdziwicie, kiedy wpadnie wam w ręce specjalna antologia, wydana na początku lat pięćdziesiątych! Oczywiście panowie przypominają mi ten utwór w pewnym kontekście — mają na myśli me krytyczne uwagi pod adresem Staszewskiego. Czy panowie nie dostrzegają różnicy między politykiem a poetą (mniejsza z tym jakim)? Równie dobrze można by stawiać znak równości między Staszewskim a Broniewskim! Nie będę już dodawał — co nie jest tu bez znaczenia! — że swoich poglądów tak o 180 stopni nie zmieniłem jak Staszewski, aczkolwiek nauczony doświadczeniem, wzbogacony o nowe fakty, patrzę dziś na świat nieco inaczej niż lat temu trzydzieści. *Aquila non capit muscas* — zakończę nieskromnie, życząc panom dalszych sukcesów w spheractwie. A swoją drogą coś musiało bardzo zboleć, jeśli panowie zadali sobie tyle trudu!

M. A. Jaworski

Wystawa książek z RFN

WCHWILI, gdy piszę te słowa, zakończyła się już, niestety, intelektualna przygoda mieszkańców Lublina na wystawie 3500 książek i czasopiśmie z 288 wydawnictw z RFN i Berlina Zachodniego. Jak opowiadała wprowadzająca mnie po wystawie pani Elke Schaar ze Stuttgartu, wysokiej klasy fachowiec w urzędzeniu tego rodzaju imprez, scenariusz wystawy przygotowuje się przez minimum pół roku, wnikliwie i szczegółowo stosując się do potrzeb i dezyderatów każdorazowego odbiorcy. Stąd — domyślam się — ukierunkowanie tematyki wystawy przede wszystkim na profile poszczególnych lubelskich uczelni, jak również na zainteresowania środowisk twórczych i szerokiego grona nauczycieli języka niemieckiego w naszym regionie. Dziennie przedtętnie dwustu entuzjastów książek RFN-owskiej miało okazję, przy zycielwej pomocy pani Schaar i grupki lubelskich germanistów — studentów UMCS, obejrzeć wspaniałe pod względem edytorskim i interesujące wszechstronnością treści dzieła z dwudziestu dziewięciu grup tematycznych. Na uwagę zasługiwała umiejętna reklama tak specjalistycznych dla laika dziedzin, jak energetyka, budowa maszyn, budownictwo czy też matematyka, fizyka i faz-

macja, które to działy przyciągały oko dzięki licznym kolorowym, imponującym wysoką jakością papieru, czasopiśmiom fachowym. A jakie zainteresowanie budził podręcznik medycyny chińskiej! Doskonale uzupełnienie i ozdoba wystawy stanowił zbiór kolorowych plakatów współpracującego z heską rozgłośnią radiową we Frankfurcie nad Menem grafika Günthera Kiesera, poświęconych m.in. Dioniz Jazzu w Berlinie. A jeśli już jesteśmy przy tematyce plakatowej, to wielkie powodzenie wśród zwiedzających miał barwny album polskiego plakatu od r. 1892 do dnia dzisiejszego, wydany jako owoc współpracy Muzeum w Wilanowie i Hochschule der Künste w Berlinie.

Nauczyciele języka niemieckiego mieli na wystawie rzadką i cenną możliwość zapoznania się z najnowocześniejszymi podręcznikami dla uczniów w różnym wieku i o różnym stopniu zaawansowania językowego. Zauważyłam, że wielu rodziców przyprowadzało swoje pociechy specjalnie dla obejrzenia wyróżniających się barwnością i estetyką wykonania książek dla dzieci, wśród których najbardziej oblegany był pomysłodawca roztawiony „Internationale Circus” Lothara Megen-dorfera.

Należy odnotować fakt wyeksponowania utworów Janusza Korczaka tłumaczonych na język niemiecki, jak również dzieł Marii Dąbrowskiej, Jana Józefa Szczepańskiego, Władysława Szymborskiej oraz Karola Wojtyły i Stefana Wyszyńskiego. Dorobek literacki tłumacza i wielkiego ambasadora literatury polskiej w RFN, Karla Dedeckusa, reprezentowały na wystawie trzy pozycje, z których najnowsza (1981 r.) nosi tytuł „Zur Literatur und Kultur Polens” (O literaturze i kulturze Polski).

Obok albumów Dürrera, Goya i Salvadora Dali, obok dzieła poświęconego laureatce Pokojowej Nagrody Nobla z 1973 r., matce Teresie z Kalkuty, oraz najlepszemu, moim zdaniem, spośród liczących o podobnej tematyce albumu „Jan Paweł II. Papież na rok 2000” (na okładce Jan Paweł II z młym Indianinem z Meksyku) — uwagę zwiedzającego przykuwały starannie wydane kolorowe wydawnictwa albumowe o Polsce, symbolizujące myśl przewodnią wystawy: posłannictwo książki w sintonie zbliżenia narodów.

Bożena Kowalowa

*) Wystawa zorganizowana ze strony polskiej przez Zjednoczenie Księgarstwa i Centralę Handlu Zagranicznego Ars Polona, ze strony niemieckiej przez Ausstellungen — und Messe — GmbH des Börsenvereins des Deutschen Buchhandels.

Z czym do ludzi?

Mieczysław Miazga

PRZED seminarium zatytułowanym: „Rozwój Lubelskiego Zagłębia Węglowego w postulatach mieszkańców”, które odbyło się w dniach 7-8 X 1981 r. w Łęcznej postanowiono został pionierski ambitny cel — nawiązanie bliższego kontaktu pomiędzy Instytutem Kształtowania Środowiska, który prowadzi prace badawcze nad kompleksowym zagospodarowaniem LZW, a mieszkańcami tego obszaru. Niemniej, stojąc przed zadaniem przygotowania wystąpienia na to spotkanie, sporo wysiłku poświęciłem na opanowanie ciężącego mi od dawna sceptycyzmu. Wziął się on stąd, że jako socjolog zajmujący się od kilku lat przeobrażeniami społecznymi w tym rejonie, przeprowadzałem kilka badań i sondaży wśród różnych kategorii środowiska społecznego, wprawdzie fundusze przydzielane dotychczas na badania socjologiczne były dość skąpe, jednakże już na podstawie tych prac udało się uzyskać ogólny wgląd w postawy, opinie i postulaty mieszkańców. Wykorzystanie wyników badań w praktyce pozostawało jednak — jak to zwykle bywa — niezliczonym marzeniem socjologów. Badania i studia (nie tylko socjologiczne) z jednej strony, z drugiej — uchwały i plany, z trzeciej — decyzje i realizacja stanowiły bowiem przystanki położone na zupełnie różnych liniach komunikacyjnych.

Socjologiczne penetracje, przeprowadzone na obszarze LZW, wykazały początkowo (w latach 1975-76) silne rozbudzenie oczekiwań i nadziei związanych z zapowiadającym rozwojem rejonu, następnie jednak — z biegiem czasu — pojawiać się zaczęły symptomy poważnych rozczarowań i stale narastającego niezadowolenia. Wiązało się to oczywiście nie tylko z sytuacją w regionie ale również w całym kraju. Wszystkie badania, do których wyników się odwołuję, przeprowadzone zostały przed sierpniem '80, czyli przed okresem społecznego wzburzenia, a więc również przed wystąpieniem jawnego, głębokiego kryzysu społecznego, ekonomicznego i politycznego, z którym mamy do czynienia obecnie. Biorąc zaś pod uwagę, że kryzys społeczny stanowi taki stan rzeczy, kiedy społeczny system nie zapewnia swoim członkom oczekiwanych warunków życia, abstrahowanie od niego jest niemożliwe w trakcie omawiania rzeczywistości społecznej w teraźniejszości, a tym bardziej w przyszłości.

Nie będę się oczywiście tutaj zajmował stroną obywatelską i doznaniową tego kryzysu, mocniej lub słabiej wszyscy ją odczuwamy. Nie można jednak pominąć pewnych uwarunkowań owej depresji, że względu na bezsprzeczną cykliczność kryzysów doświadczonego podobnych, ujawniających się z zdumiewającą regularnością w naszej rzeczywistości. Odrzucając przy tym — nie dając się utrzymać nawet na płaszczyźnie zdroworozsądkowej — tezę, czy naiwną próbę ich wyjaśnienia doraznymi błędami poprzednich, kolejnych przywódców, przyjmując jako punkt wyjścia tych rozważań stwierdzenie prof. Stefana Nowaka, że źródłem owych jawnych kryzysów jest stan kryzysu utajonego, który od kilku dziesięcioleci stanowił trwałą cechę naszego społeczeństwa. Miarą siły tego kryzysu — co chcę szczególnie mocno podkreślić — jest według S. Nowaka „rozpiętość pomiędzy potrzebami i wartościami, a działaniami systemu na rzecz ich zaspokojenia”.

I tutaj dochodzimy do zagadnienia planowania, a także realizacji planów, albowiem pojawienie się rozbieżności pomiędzy ludzkimi potrzebami i dążeniami, a stopniem ich zaspokojenia następowało bądź w fazie planowania, kiedy to cele wytyczone w planie w niewielkim stopniu pokrywały się z celami społecznymi, bądź też w fazie realizacji, gdy „dobre plany” były korygowane, a przykład z konieczności ekonomicznych, i najczęściej odbywało się to kosztem celów społecznych, to znaczy zaspokojenia potrzeb, dążeń i wartości obywateli. W jednej lub drugiej, albo i w jednej i w drugiej pogłębia się — mówiąc krótko — rozbieżność między tym, co jest, a tym, czego chcieliby ludzie. Na podstawie badań w obszarze LZW można podjąć próbę określenia uznawanych przez mieszkańców wartości, czy ich zespołów.

Do najmocniej wyeksponowanych w ciągu ostatniego roku w społecznych żądaniach należy dążenie obywateli do współdecydowania o swoim losie. W badaniach przeprowadzonych w 1979 r. w Łęcznej szczególną uwagę zwracała powszechność potrzeby pełnej informacji. Niemal wszyscy indagowani mieszkańcy opowiedzieli się za koniecznością pełnego informowania społeczeństwa o ważniejszych decyzjach i ich uzasadnieniach, jak również o zamierzeniach planistycznych. Spełnienie tego tylko postulatu — upublicznienia decyzji w skali kraju i regionu — stanowić już by mogło swego rodzaju środek zapobiegawczy przeciw samowoli oraz zwykłemu błędowi różnych szczebli i rodzajów władzy, bowiem decyzje poddane by były każdorazowo ocenie społecznej. Badania wykazały ponadto, że w większości mieszkańcy (w tym niemal wszyscy przybywcy z Górnego Śląska) żądają nie tylko informowania, ale i podmiotowej roli w procesie rozwoju regionu i wpływania na jego przyszłość; w zdecydowanej większości opowiedzieli się oni za koniecznością konsultowania z nimi ważniejszych ustaleń i decyzji. Bardzo ważny był następnie postulat dotyczący rzetelności polityki informacyjnej, krótko mówiąc: prawdy.

Analiza wyników badań dotyczących systemów wartości, orientacji życiowych, grupowych autorytetów moralnych, a także oczekiwań w zakresie możliwości zaspokojenia różnych potrzeb, wykazała wśród badanych bardzo silną orientację rodzinną. Dobro rodziny zajmuje przeważnie najwyższą pozycję w uznawanych systemach wartości naczelnych. W związku z tym zmniejszanie rozbieżności pomiędzy ludzkimi dążeniami, a stopniem ich realizacji przez system społeczny następować może i powinno poprzez „rodzinnocentryczność” w polityce społecznej, a w szczególności: mieszkaniowej, dotyczącej infrastruktury społecznej, zaopatrzenia, realizacji oczekiwań zarobkowych itp.

Na tle tej ostatniej płaszczyzny najłatwiej jest wypunktować konieczność owej „rodzinnocentryczności” i to z dwóch względów. Pierwszy — to potrzeba osiągnięcia przez górników zarobków w takiej wysokości, która pozwoliłaby na utrzymanie rodziny bez pracy żony; potrzeba ta najsilniej jest odczuwana przez ludność wychowaną oraz dłużej przebywającą na terenie Górnego Śląska. Drugi natomiast — to osiągnięcie takich zarobków, których wysokość gwarantowałaby zapewnienie „minimum socjalnego” na osobę w rodzinie. Badania wykazywały, że stanowi to warunek pożądanego postaw wobec pracy zawodowej, inaczej rzecz biorąc — niezaspokojenie tego minimum może wywołać postawę „niby-pracy za niby-placę”, na następnie usprawiedliwić niesolidność, niedyscyplinowanie, czy wręcz kradzież (dokradanie, aby żyć). Wnioski te nie przestają być aktualne, a pewne kroki podejmowane w kierunku kształtowania prawidłowych postaw wobec pracy (najczęściej w postaci apelowania o dobrą pracę) można porównać do dreptania po pojeździe, który z dużą szybkością oddala się od celu!

W szerokim zestawie spraw związanych z zagospodarowaniem przestrzennym LZW zwracają na siebie uwagę przede wszystkim dwie uznawane przez mieszkańców wartości. Pierwszą stanowią grunty rolne i ich ochrona. Badania z 1976 roku wykazały, że mieszkańcy miasta i okolic Łęcznej, wypowiadając się na temat zagospodarowania rejonu, w zdecydowanej większości odpowiedzieli, uzasadniających własne koncepcje rozwoju, odwoływali się przede wszystkim do tej wartości. Drugą wartością, do której — jak wykazało kilka badań — niemal wszyscy mieszkańcy rejonu przywiązują ogromne znaczenie, są walory przyrodniczo-klimatyczne i krajobrazowe całego LZW oraz samego miasta z malowniczymi dolinami rzek. Ludność napływająca do LZW, zwłaszcza z obszarów zurbanizowanych, ocenia Łęczną pod jednym tylko względem wyżej od poprzedniego miejsca zamieszkania; stanowią go właśnie wymienione walory tego terenu. Zważyw-

szy, że te same kategorie ludności charakteryzują się jednoczesnym silnym odczuwaniem potrzeby dostępności do miejskiego centrum z bogactwem wyposażenia (zwłaszcza w obiekty kulturalne oraz sportowo-rekreacyjne), wskazane jest poszukiwanie takich rozwiązań urbanistycznych, które łączyłyby najważniejsze walory wielkomiejscowości z walorami przyrodniczymi. Nie mniej ważna jest sprawa istnienia w nowym mieście miejsc styczności publicznej oraz obiektów emocjonalnej identyfikacji i ich łączenia z centrum funkcjonalnym.

W przyszłym rejonie górniczym bardzo silnie pożądaną są przez ludność urzędniczą i obiekty kulturalne oraz sportowo-rekreacyjne. Potrzebę rozbudowy terenów zielonych, ogródków działkowych, urządzeń do uprawiania sportu itp. uzasadnia dodatkowo przewidywana specyficzna struktura wieku mieszkańców, z młodym przedprodukcyjnym i rosnącym odsetkiem ludności w wieku przedprodukcyjnym oraz — na skutek wcześniejszego przechodzenia górników na emeryturę — w wieku poprodukcyjnym. Jeśli natomiast chodzi o potrzeby kulturalne, to badania z 1979 roku wykazały, że stały się już one potrzebami powszechnymi. Zakładając nawet, że są to jedynie potrzeby deklarowane, a nie rzeczywiste, przewidywane, to ogromną szansą jest, aby w przyszłości — przez stworzenie możliwości ich zaspokojenia i podjęcie działań zmierzających do wypełnienia wolnego czasu — przekształcać je stopniowo w potrzeby rzeczywiste.

Badania wykazały ponadto, że znaczna część mieszkańców umiejscawia w systemie wartości uznawanych za naczelne — wartości religijno-moralne, znaczenie i potrzebę wykorzystania integrującej roli religii i Kościoła.

Bardzo ważnym zagadnieniem pojawiającym się w różnych badaniach jest przeciwstawianie się przez ludność nieuzasadnionym przywilejom jednych kosztom drugich, przy czym dotyczy to nie tylko jednostek ludzkich. Ta — ogólnie rzecz ujmując — idea równości społecznej odnosi się także do całych ośrodków osadniczych (niektóre, na skutek rozwoju rejonu, ponoszą w opinii ludności wyłącznie straty), bądź też części tych ośrodków (zjawisko społeczno-przestrzennej segregacji ludności w „starych” i „nowych” częściach miasta).

Wśród mieszkańców LZW, szczególnie wśród działaczy społecznych, występuje nasilająca się potrzeba istnienia „kogoś” (samorządu terytorialnego?), kto w odczuciu ludności byłby jej przedstawicielem, posiadającym możliwości i środki do skutecznego działania w imieniu i w interesie mieszkańców.

Przytoczone wyniki badań wskazują jednoznacznie na wielką żywotność wartości, dążeń ludzkich i idei, występująca pomimo uciążliwości codziennego życia. W żadnym jednak wypadku nie oznacza to, że te ostatnie można zbagatelizować. Wręcz przeciwnie! Najważniejszym, najbardziej podstawowym wnioskiem praktycznym, wynikającym z cytowanych uprzednio badań, było stwierdzenie, że zaspokojenie potrzeb i pozytywna ocena szeroko pojętego środowiska mieszkaniowego i jego funkcjonowania stanowi kardynalny, wstępny warunek pomysłowego przebiegu procesu kształtowania się nowej społeczności w rejonie. Warto tutaj podkreślić, że w świadomości samych mieszkańców tego obszaru szczególnie znaczenie przypisywane jest sprawom odpowiedniego rozwoju i powszechnej dostępności do wszelkich urządzeń ważnych dla życia i zdrowia mieszkańców oraz ośrodków opieki nad matką i dzieckiem.

Przedstawione powyżej wnioski stanowią refleksję na dość ogólnym poziomie; nie wnikają w wiele ważnych szczegółów, a także nie mogą sobie rościć w żadnej mierze pretensji do jakiejś kompletności. Poszerzenie, pogłębienie i uszczegółowienie tego materiału powinno nastąpić m.in. w wyniku październikowej konferencji. Nawiązując jednak do tego, co powiedziałem na wstępie, trudno obronić się przed jednym pytaniem: jak to się stało, że pomimo istnienia — opartych na różnych badaniach i studiach — zaleceń i wniosków dla praktycznego działania, pozostawały one bez rzeczywistego wpływu na to działanie, na politykę? Prof. Jan Szczepański niezwykle krótko, ale i boleśnie trafnie odpowiedział na to pytanie następująco: „polityka polega na operowaniu siłą, a nie operowaniu wiedzą”. Miejmy nadzieję, że odpowiedź ta będzie się odnosiła do coraz to dalszej przeszłości.

TRYBUNA EKONOMISTÓW

O reformie cen nieco inaczej

Maria Świętochowska

SWIADOMOŚĆ konieczności przeprowadzenia reformy cen w społeczeństwie pogłębia się, lecz jak się wydaje, nie wszyscy zdają sobie sprawę z istoty tego zabiegu. Z reguły reforma cen kojarzona jest tylko z podniesieniem poziomu cen i ewentualnie zmianą ich relacji. Zapomina się o takich elementach jak zmiana metod ustalania cen (liczenia), zasad kształtowania dynamiki cen czy podziału kompetencji decyzyjnych w zakresie cenotwórczości. Ponieważ dwutygodnik typu „Kamena” nie jest najlepszym miejscem do prowadzenia rozważań szczegółowych nad wspomnianymi zagadnieniami, pragnę zwrócić jedynie uwagę na te fragmenty już spopularyzowanych poglądów, które moim zdaniem, są dyskusyjne.

Zaczynając od reformy cen detalicznych — opór mój budzi propozycja rozłożenia reformy cen w czasie, czyli wieloetapowość. Zwolennikiem tej koncepcji jest minister Krasieński. Podobny pogląd zaprezentował na łamach „Kamena” nr 22 R. Poliński. Argumentem ma tu być fakt, iż „kilkuetapowa reforma cen ma tę zaletę, że umożliwia łatwiejsze pokonanie bariery psychologicznej, oswojenie się z nowymi cenami, złagodzenie szoku cenowego, jakiego dozna z pewnością większość społeczeństwa”. Otóż wydaje mi się, że nasze wymęczone już bardzo społeczeństwo łatwiej znieśnie szok jednorazowy niż rozłożony na raty. Dawkowanie nieprzyjemnej prawdy jest stopniowym pogłębianiem stanu niepewności i frustracji, co może przynieść jak najgorsze efekty. Jednorazowa podwyżka cen to równocześnie jednorazowe obciążenie rekompensat, a zatem i możliwość dość szybkiego zweryfikowania wydatków. Proces ten rozłożony w czasie nie wprowadzi tak szybko ładu w gospodarowanie środkami pieniężnymi. Ponadto kompletny brak zaufania do władz, wyrażający się w podejrzeniach, że „znowu chcą nas uderzyć po kieszeni”, łatwiej rozwiązać podwyżką jednorazową, bo łatwiej jest przy niej kontrolować prawidłowość naliczania rekompensat.

Sam szok cenowy można osłabić poprzez rzeczową i szeroką dyskusję w środkach masowego przekazu i wcześniejsze zapoznanie społeczeństwa z propozycjami zmian. Tymczasem głośno mówi się o reformie cen, a po cichu wprowadza podwyżki w różnych dziedzinach (przynajmniej) tak było do momentu podpisania porozumienia o zamroźnięciu cen). Rozważania te prowadzone są zza biurka i mogą mylić się zwolennicy zarówno koncepcji jednoetapowej, jak i wieloetapowej reformy cen. Jedynym wyjściem z tej sytuacji jest po prostu zbadanie opinii publicznej. Zrobił to już w czerwcu Ośrodek Badań Społecznych „Solidarność” w naszym regionie i okazało się, że na 130 ankietowanych osób za podwyżką jednorazową opowiedziało się 67,9 proc. czyli znacznie ponad połowa. Jeżeli ktoś uzna, że liczba badanych była niewystarczająca — badania można powtórzyć, i to w skali ogólnokrajowej. Wyniki ich będą prawidłowe tylko po spełnieniu dwóch

warunków, a mianowicie: 1) że zostaną przeprowadzone we właściwych środowiskach, tj. robotniczym i chłopskim, a nie — jak do tej pory było przeważnie — w kręgach urzędniczych czy naukowych; 2) badanie będzie połączone z pełną informacją o skali i wszechstronnych skutkach reformy cen. W innym przypadku bowiem wynikiem analiz może towarzyszyć zupełnie odmienna reakcja na zmiany cen w momencie, gdy będą one urzeczywistniane.

Konfrontacja wyników badań przeprowadzonych w naszym regionie z obiegowymi poglądami na temat sposobu przeprowadzenia podwyżek cen pozwala na wyłączenie jednego wniosku, a mianowicie, że o decyzjach gospodarczych wpływających na sytuację materialną rodzin powinny przysądzać autentyczne konsultacje społeczne, a nie woluntarystyczne spekulacje biurokratów (czy naukowców).

Wydaje mi się, że niespójność wielu rozważań nad reformą gospodarczą, a w tym i reformą cen, bierze się — z jednej strony — z braku jasnej odpowiedzi na pytanie: czemu reforma cen ma służyć i co się ma na nią składać, zaś z drugiej — niepełna znajomość mechanizmów podejmowania decyzji przez różne podmioty gospodarcze (tak producentów jak i konsumentów). Bez tej wiedzy dyskusje nad reformą cen, a szczególnie doradztwo w tej dziedzinie, przypominają mi zabawę dzieci bawiących się zapalnikami i dynamitem.

I jeszcze jedna uwaga na marginesie — nie boję się „otłuszczenia” finansowego przedsiębiorstw, będącego wynikiem jednorazowej podwyżki cen detalicznych. Budżet państwa dysponuje dostatecznie silnymi narzędziami, żeby przejąć zyski nieusprawiedliwione czy nieuzasadnione (tak zresztą było w dotychczasowym systemie finansowym i to zawarte jest w projektach nowych uchwał) oraz skutecznie „odchudzić” każdego producenta.

Lubelski Październik

Ciąg dalszy ze str. 1

wszechnie tu znanego i lubianego. Z chrześcijańskim spokojem znosił szykany KUL.

Swoich praw społeczeństwo nie mogło dochodzić przed oficjalnymi organami władzy, które znamiennie dygnitarstwo, bezdusność, nieliczenie się z realiami, brak reakcji na krzywdę ludzką. Te bolesne zjawiska, rozważane dotąd jedynie w rodzinnych rozmowach, zaczęły stawać się przedmiotem publicznej dyskusji w czasie tzw. odwilży. Wywołana śmiercią Stalina, zaczęła się w Polsce po listopadowej naradzie aktywność partyjnego w KC PZPR, podczas której dyskutowano rewelacje dotyczące sytuacji wewnątrz partii i metod działania aparatu UB, ujawnione przez zbiegłego na Zachód dyrektora X Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, płk. J. Światłę.

Efektom tej narady było uwolnienie w grudniu 1954 r. Władysława Gomułki oraz zlikwidowanie owego Ministerstwa. Postulat zrewidowania dotychczasowych metod i stylu rządzenia, powrotu do praworządności w działaniu bezpieczeństwa stał się zresztą powszechny.

Nastroje społeczne odzwierciedlała, sprzyjając obiektywnie siłom reformatorskim w partii, prasa. „Sztandar Ludu” z początków 1956 r. to już zupełnie inna gazeta niż w poprzednich latach. Mimo że w redakcji nadal rządziła szara eminencja, zastępca redaktora naczelnego Sara Nomburg, język publicystyczny zmienił się, a teksty bywały „rewolucyjne” — w stosunku do tego, co zamieszczano w poprzednich latach. Gazeta pisała o deformacjach i wypaczeniach, nazywała rzeczy po imieniu i bez żenady operowała nazwiskami ludzi łamiących prawo. Owa tęsknota za praworządnością była zjawiskiem dominującym w życiu społecznym Lubelszczyzny w okresie poprzedzającym Październik. Zacytujmy kilka tytułów ze „Sztandaru” pierwszych miesięcy 1956 r.: „Manowca demokracji i sprawiedliwości” (o klikach w Żółkiewce), „Wierzyć w ludzi”, „Adiutant Powiatowej Rady”, „Człowiek osaczony” (o mieszkańcu Dorohuska szukającym sprawiedliwości), „Gdy słowem brak pokrycia”, „Nie wystarczą deklaracje”, „Pięcioramiennie klomby, slogany i „ludzie”, „Kolegialność, krytyka i prawda, czyli o stosunkach w REDP w Kraśniku”, „Miasteczko na manowcach” (opisanie Łęcznej), „Gdzie kończy się kontrola mas”, „Śmielej, towarzysze z LFMR”, „Rewolucjonisci z teckki”, „Stare nawyki w nowym układzie”, „W obronie rozumnych”.

Rozchwytywane było warszawskie „Po prostu”. W latach 1953—55 to pismo studentów z ZMP przeszło wyjątkową ewolucję. Przeglądając się uważnie rzeczywistości, pisało o niej bez ogródek. Alarmowało nie tylko w sprawach młodzieży, ale także kultury narodowej, marksizmu; pierwsze w Polsce postawiło na porządku dziennym problem rehabilitacji AK. Nawołując do niszczenia skostniałych struktur społecznych i państwowych, przygotowywało grunt pod Październik. W Lublinie za wypożyczenie numeru z artykułem „Czy jestem chorągiewką” młodzi robotnicy ofiarowywali właścicielowi paczkę „Giewontów”, co było z ich strony wielkim wyrzeczeniem.

Ujawniano coraz to nowe afery z lat minionych. Na sesji WRN w maju 1956 r. podano szokujące informacje o nadużyciach w zakładach przetwórstwa owocowo-warzywnego w Terespolu i Kluczkowicach oraz w całym Wojewódzkim Związku Spółdzielni Pracy i Wojewódzkim Zarządzie Przemysłu. Rehabilitowano powoli ludzi skazanych na cierpienia i zapomnienie w okresie stalinowskim. Święto 1 Maja w 1956 r. stało się np. okazją do przypomnienia działalności Komunistycznej Partii Polski i jej aktywistów. Później przy KW PZPR i WK ZSL powołano komisje rehabilitacyjne, które zajęły się przywracaniem do życia społecznego działaczy skazanych na polityczną banicję w okresie stalinizmu. Na czele komisji partyjnej stanął prof. Andrzej Burda z UMCS. Po ustawie o amnestii otworzyły się bramy więzień.

Obradujące pod wrażeniem wypadków poznańskich VII Plenum KC PZPR przyniosło dla procesu odnowy rozwiązania połowiczne, ale ujawniło z całą ostrością podział w partii między frakcjami: natolińską, skupiającą konserwatystów, i puławską, grupującą zwolenników demokracji systemu i reform. Zwolane wkrótce potem plenum KW PZPR w Lublinie nie przyniosło żadnych zmian w wojewódzkim układzie władzy. I sekretarz KW PZPR Bazyl Hołod przyznał jednak samokrytycznie, iż „proces demokracji życia gospodarczego przebiega w woj. lubelskim zbyt powoli”. Ten wątek rozwinięty został na plenum KM PZPR w Lublinie: „W dalszym ciągu zdarzają się wypadki tłumienia tego procesu przez poszczególnych ludzi, nieliczenia się ze słusznymi uwagami i propozycjami robotników, hamowania ich aktywności”.

Rozpoczął się październik. Do Lublina wrócili z wakacji studenci i od razu atmosfera życia społecznego w mieście stała się bardzo gorąca. Zdeenerwowani niechlujstwem budowlanych i opieszałością władz miejskich, studenci WSR — mieszkańcy bloku „E” w miasteczku uniwersyteckim — zbrali się na wiecu i podjęli rezolucję, żądającą m.in. działań prokuratorów wobec winnych balaganu na budowie akademika. Wyłoniona delegacja w asyście setek studentów przeszła ulicami

Lublina do siedziby Prezydium MRN. Był to pierwszy od lat, nie zorganizowany przez władze i nie uzgodniony z nimi, przemarsz społeczeństwa ulicami miasta. Milicja nie interweniowała.

W miasteczku akademickim manifestacyjnie świętowano też wybór nowego rektora UMCS, którym został prof. Andrzej Burda. W ramach demokracji życia wyższych uczelni przyznano im własną autonomię, wyrażającą się m.in. możliwością samodzielnego wyboru władz.

W całym kraju powszechnie domagano się przyspieszenia procesu reform i powrotu Władysława Gomułki do władzy partyjnych. Opowiadali się za tym niektóre komitety wojewódzkie, np. warszawski. KW w Lublinie zachowywał pozycję bierną, czekając na rozwój wydarzeń. Prowadzono prace ważne, ale wciąż nie zaspokajające oczekiwań członków partii i społeczeństwa. Uszczuplono więc aparat o 28 osób, kasując w KW m.in. wydziały: handlu i socjalny. Podobnie w powiatach władze czekały na rozwój wydarzeń. Napięta była sytuacja w zakładach pracy, załogi domagały się swego wpływu no to, co dzieje się w przedsiębiorstwach.

W takiej atmosferze prasa przyniosła komunikat Biura Politycznego o zwołaniu na dzień 19 października 1956 r. VIII Plenum KC PZPR. Wszyscy byli świadomi, że waży się losy Polski, socjalizmu. Ta świadomość towarzyszyła przede wszystkim działaniom klasy robotniczej i studentów. W sobotę, 20 października, „Sztandar Ludu” był rozchwytywany, od rana okupowano kioski „Ruchu” w Lublinie, czekając na dostawę gazety. W wielu zakładach pracy lektura doniesień z obrad VIII Plenum spowodowała zorganizowanie spontanicznych masówek, na których robotnicy omawiali głównie powrót Władysława Gomułki do składu KC PZPR, a tym samym do życia politycznego, oraz niespodziewaną wizytę w Warszawie delegacji KC KPZR.

Na tych masówkach równie spontanicznie uchwalano rezolucje i listy do KC. Robotnicy z Zakładów Piwowarsko-Słodowniczych z radością witali zebrany na VIII plenarnym posiedzeniu Komitet Centralny, „a szczególnie tych jego członków, którzy w swej niestrudzonej i ofiarnej walce są szczerymi i bezkompromisowymi rzecznikami suwerenności, demokracji, jawności życia publicznego”. Ta spontaniczność godna jest podkreślenia, bo w zakładach pracy nie odczuwało się 20 października działalności aparatu partyjnego.

W miasteczku uniwersyteckim, w sobotę, wiadomości z obrad VIII Plenum zgromadziły studentów na wiecu. Oklaskami powitano przybyłą z Warszawy delegację tamtejszych studentów, którzy zdali relację z piątkowego wiecu na Politechnice Warszawskiej i przedstawili tekst podjętej tam rezolucji. Zgromadzenie lubelskie także zakończyło się przyjęciem rezolucji, popierającej brać studencką Warszawy, robotników Żerania, studentów Krakowa i robotników Huty im. Lenina. „Zwracamy się do uczestników plenum KC PZPR — ogłaszamy — do tych wszystkich, którzy są za demokracją, aby wzięli na swe barki dziejącą odpowiedzialność i nie dopuścili pod żadnym względem do kompromisu z tzw. „grupą natolińską”, która tandetnymi hasłami chce sprowokować naród, a potem go ujarzmić. Żądamy odsunięcia tych ludzi od władzy”. Czteroosobowa delegacja zawiozła rezolucję do stolicy.

W niedzielę, 21 października, ukazało się nadzwyczajne wydanie „Sztandaru Ludu”; gazeta przynosiła tekst przemówienia Wł. Gomułki wygłoszonego na VIII Plenum. Mieszkańcy Lubelszczyzny mogli sobie przypomnieć twarz człowieka (która zniknęła z łam pras i ekranów kin w 1949 r.), bowiem na pierwszej stronie eksponowano duże zdjęcie tow. „Wiesława”. Tego dnia odbył się w miasteczku uniwersyteckim kolejny wiec Studenci Lublina zdecydowanie brali na swoje barki ciężar przewodzenia w procesie dokonujących się przemian na terenie województwa. W kontekście dyskusji na VIII Plenum i przemówienia Gomułki, rezolucji uchwalonej na wielkim wiecu w Politechnice Warszawskiej, który zgromadził ok. 30 tys. osób, jeszcze raz zapanowała gorąca atmosfera dla „Wiesława”. We wtorek, 23 października, postanowiono zwołać manifestację mieszkańców Lublina, zaprosić na nią delegację robotników, mieszkańców wsi, wojska. W skład komitetu, który miał przygotować wiec, weszli przedstawiciele wszystkich wyższych uczelni miasta oraz Międzywojewódzkiej Szkoły Partyjnej.

Wiadomości z Warszawy zaktywizowały środowisko lubelskich dziennikarzy, ludzi kultury i sztuki. W Klubie Pracowników Kultury odbyło się, zorganizowane przez lubelski oddział SDP, nadzwyczajne zebranie dziennikarzy, na którym obecna była delegacja robotników z FSC. Ostrej i poważnej krytyce poddano działalność KW i KM PZPR w dniach przed i w trakcie plenum, żądano zwołania plenarnych posiedzeń tych instancji celem dokonania oceny działalności aparatu partyjnego.

KW zasługiwał w tym czasie rzeczywicie na słowa krytyki. Sekretarz KP PZPR w Chełmie, Jakub Świtlak, powiedział wówczas, że w dniach VIII Plenum lubelski Komitet Wojewódzki „po prostu nie istniał”. Kiedy KP w Chełmie chciał nawiązać kontakt z KW, to narzucono mu „plan działania”, polegający na informowaniu KW o tym, co słychać w terenie. Chełm sprzeciwił się i zarządził informację o tym, co słychać w Warszawie i Lublinie. Takiej informacji nie otrzymał. W niedzielę, 20 października — mówił dalej J. Świtlak — odezwały się w KP w Chełmie telefony — dzwonił KP Zamość i Krasnostaw, pytali — co

zrobić? Co wy robicie? Więc w niedzielę rano, o godz. 9., zebrała się Egzekutywa KP w Chełmie i mimo, że zmiany personalne w Biurze Politycznym nie były jeszcze znane, postanowiła wyjechać z referatem Gomułki do załóg, do społeczeństwa”.

Gazety z 21 października, przynoszące wiadomości o wyborze Wł. Gomułki na I sekretarza KC PZPR, znów były powszechnie czytane, a lektura stała się okazją do zwołania publicznych mitingów i wyrażenia poparcia dla nowych władz KC. W FSC, największym zakładzie pracy Lublina, już wczesnym rankiem na samorzutnie zorganizowanej masówce zgromadziło się około 600 pracowników narzędziowni. Wiec był bardzo burzliwy, wyrażano na nim „całkowite zaufanie i poparcie dla nowego kierownictwa partii”, dla załóg Żerania, Huty im. Lenina, studentów Warszawy, Lublina i Krakowa. Skrytykowano bardzo ostro Komitet Zakładowy PZPR w FSC. „Przez 3 dni obrad plenum — mówiono — KZ nie organizował wieców ani masówek, tak chętnie zwoływanych z byle okazji w minionych czasach — nie rozmawiał z załogą, nie informował o wydarzeniach w partii”. Robotnicy zażądali „samookreślenia się” Egzekutywy KZ PZPR wobec zmian w kierownictwie partii. Delegacja zawiozła tekst rezolucji do Warszawy.

W kilka godzin później, na wiecu całej załogi FSC, jeszcze raz napiętnowano Komitet Zakładowy, stwierdzając, iż w czasie przemian „zajął biernie stanowisko i nie stał na czele klasy robotniczej zakładu”. Wiele miejsca poświęcono sprawom stosunków z ZSRP w oparciu o charakter współpracy FSC z gospodarką radziecką. Na spotkaniu obecna była delegacja studentów lubelskich z Zygmuntem Lupiną, którego wystąpienie przyjęto owacyjnie. Lupina — przedstawiciel Komitetu Organizacyjnego studentów lubelskich, ciała, które trudno zakwalifikować instytucjonalnie — wyrastał na „lubelskiego Lasotę”. Aktywność studentów, tak charakterystyczna dla Października, była w Lubelskiem wyjątkowo widoczna. Już w niedzielę na masówce organizowanej przez KM PZPR w zakładach pracy udali się przedstawiciele młodzieży akademickiej. Ich wystąpienia, agitujące za Gomułką i przemianami w kraju, spotykały się nieraz „z odporem” uczestniczących w wiecach instruktorów Komitetu Miejskiego. Toczyła się ostra walka słowna, której sens miał głębokie polityczne znaczenie. W poniedziałek studenci wyjechali w teren, rozeszli się po fabrykach, gdzie wnosili z sobą ducha VIII Plenum, pragnienie przemian.

23 października odbył się w miasteczku akademickim, zapowiadany wcześniej, kolejny wiec. Obawiano się go w KW i tak też sygnał poszedł do Warszawy. Nowi przywódcy partii doszli do wniosku, że w Lublinie mogą dojść do głosu siły stanowiące zagrożenie dla Października. KC zwróciło się więc do redakcji „Po prostu”, by udzieliła pomocy w przeprowadzeniu wiecu. Pismo wydelegowało do Lublina red. Janusza Kuczyńskiego, Gomułka osobiście polecił przyjechać na wiec lubelski prof. Adamowi Schaffowi. Taki rozwój sytuacji jasno określał rolę wiecu jako papierka lakmusowego, sprawdzającego, kto jest „za”, a kto „przeciw” procesowi przemian.

Przed akademikiem nr 1 zgromadziło się 70 tys. mieszkańców Lublina, niemal cała dorosła ludność miasta. Na zaimprovizowanej trybunie, utworzonej z dwóch ciężarówek, pojawiali się lubelscy przywódcy Października: Zygmunt Lupina, Stanisław Markiewicz i inni. Adam Schaff odczytał list Gomułki skierowany do zgromadzonych. „Wiesław” dziękował robotnikom i młodzieży za poparcie, udzielone nowemu kierownictwu partii, zapowiadał, że „z drogi demokracji życia w kraju nie zdejmiemy i nie pozwolimy się z niej zepchnąć”. Zebrani przyjęli tekst listu długotrwałymi owacjami. Takim też aplauzem wyrażano akceptację dla poszczególnych punktów platformy polityczno-ideowo-gospodarczej Komitetu Organizacyjnego lubelskich studentów, prezentowanej przez Z. Lupinę. Najważniejsze pozycje tego programu obejmowały: jawność życia społeczno-gospodarczego na Lubelszczyźnie; apel do Egzekutywy KW, by otrząsnęła się z letargu; usunięcie z aparatu ludzi skompromitowanych; postulat utworzenia Komunistycznego Związku Młodzieży; połączenie wyższych uczelni Lublina w jedną; przemianowanie wszystkich ulic i placów noszących imię Stalina.

Cisza zapadła, gdy na trybunie wszedł przedstawiciel wojska, por. Tadeusz Łęski. Owacją przyjęto zapewnienie, że wojsko wraz z całym narodem twardo stać będzie na straży swobód demokratycznych i suwerenności kraju. Ala kropkę pod „i” postawił starszy strzelec Witold Stefańczyk, oświadczając: „Nigdy nie zwrócimy naszej broni przeciw klasie robotniczej, wszak sami się z niej wywodzimy”. Te słowa były wypowiedzeniem posłuszeństwa marszałkowi Rokossowskiemu i jego zastępcy, osławionemu generałowi — górzycy Witaszewskiemu. Ku radości zebranych ktoś za chwilę odczytał komunikat PAP o odwołaniu Witaszewskiego z funkcji szefa Głównego Zarządu Politycznego WP i wiceministra Obrony Narodowej. Na jego miejsce skierowano gen. Mariana Spychalskiego.

Wiec trwał kilka godzin. Przemawiali: rektor UMCS — prof. Andrzej Burda, przedstawiciel FSC — inż. Janusz Madeński, tow. Wolanik — delegat z Żerania, studenci Politechniki Warszawskiej, Ryszard Bender z KUL, Janusz Kuczyński z „Po prostu”. Robotnik z FSC wypowiedział słowa, które zapadły do dziś w pamięć jednego z uczestników wiecu: „My chcemy faktycznie rządzić krajem, a nie tylko nosić plakaty na manifestacjach z napisem: klasa robotnicza współgospodarzem Polski Ludowej”. Były wypowiedzi szersze ale były też i demagogiczne, antyrządzieckie, szowinistyczne. Totalnie krytykowano lubelski KW, ale nikt z jego przedstawicieli nie zabrał głosu, mimo wezwania pracownika UMCS Usza, który zapytał obecnych na wiecu sekretarzy instancji wojewódzkiej, dla-

czego w gorących dniach nie stanęli na czele mas pracujących, a zajęli pozycję wycofującą? Tłumaczone później, że i sekretarz Hołoda wstrzymał się od głosu, bo z czasem atmosfera wiecu zaczęła być bardzo gorąca. Nie pozwolono przemawiać dziennikarzowi „Sztandaru Ludu” Leszkowi Siemionowi oraz przewodniczącemu ZW ZMP Ryszardowi Czubaćkiemu, uznając, że jego metody pracy skompromitowały samo życie. W tej sytuacji Hołoda rzekomo nie mógł zabrać głosu w trosce o swój autorytet.

Przyjęta w wiecu rezolucja była bardzo ostra w treści. W związku ze zbliżającymi się wyborami do Sejmu zapowiadano, że „nie dopuścimy do przeforsowania niektórych posłów-manekinów, jakich mieliśmy dotychczas w naszym województwie”, żądano likwidacji ZMP i powołania w jego miejsce Komunistycznego Związku Młodzieży, dalej domagano się „od KW PZPR i Prezydium WRN, aby zdecydowały się w końcu na jakąś rewolucyjną formę działania, uogólniły postulaty mas Lubelszczyzny i wcieliły je w życie jako własne i nasze założenia”.

Wiec ożywił Komitet Wojewódzki. Następnego dnia prasa przyniosła komunikat KW PZPR, z zadowoleniem witający inicjatywę studentów, którzy wraz z robotnikami udzielili poparcia Gomulce. Instancja zdeklarowała się wreszcie, przynajmniej oficjalnie, oświadczając, że zdecydowanie potępia tzw. grupę natolińską. Na czwartek, 25 października, zapowiedziano plenum KW z udziałem szerokiego aktywu partyjnego całego województwa. Zapowiadano, że ustosunkuje się ono do pracy KW i jego egzekutywy, do działalności rad narodowych, wyciągnie wnioski wobec tych pracowników aparatu, którzy „nie umieją pracować w ścisłym kontakcie z masami”.

Polityczne ożywienie ogarnęło w tych dniach całe województwo. Wyciągnięta wnioski z VIII Plenum redakcja „Sztandaru Ludu”. 24 października odbyło się zebranie redakcyjne, zwołane z inicjatywy POP. Po dziewięciogodzinnej dyskusji powołano nowe kolegium redakcji, jedynymisnie zwalniając z funkcji zastępcy redaktora naczelnego Sarę Nomborg. Fala niepokoju i ostrego niezadowolenia z działalności organizacji ogarnęła członków ZMP. Na plenum Zarządu Miejskiego ZMP w Lublinie stwierdzono, iż „ZMP nie reaguje na braki i niedomagania, gdyż jest niemal fikcją — martwą nazwą”. Zawsza zgłaszano postulaty powołania organizacji młodzieży komunistycznej i drugiej organizacji: wieloświatopoglądowej, o charakterze kulturalno-oświatowym. W licznych miejscowościach także grupy młodych komunistów, samorzutnie zorganizowane, już działały, m.in. w Tysowcach; kolejna tworzyła się na lubelskich wyższych uczelniach.

Na plenum KW wprowadzenie do dyskusji wygłosił i sekretarz Bazyl Hołoda. Sens jego wypowiedzi sprowadzał się do hasła: „Dość wiewowania — stanąć do warsztatów pracy”. Ani słowa o Październiku na Lubelszczyźnie! Dyskusja, mimo takiego zagajenia, była bardzo burzliwa. Pytano więc egzekutywę, jak to się stało, że w dniach przed VIII Plenum, w jego czasie i po nim Komitet Wojewódzki nie potrafił stanąć na czele mas walczących o zwycięstwo kierunku odnowy w partii? Jak to się stało, że nie było KW wówczas, gdy wyłoniony szybko komitet organizacyjny studentów zmobilizował 70 tys. ludzi? Żądano skierowania pracowników aparatu partyjnego do bezpośredniej pracy produkcyjnej. Z uwagą wysłuchano wystąpienia J. Kisielewicz, Z. Cackowskiego, J. Switlika. Wiceprzewodniczący PWRN J. Kisielewicz ocenił, że w dniach VIII Plenum kierownictwo KW było bierne, „bo nie miało własnego stanowiska”. Postulował zmianę stosunku do chłopów lubelskiego, upominał się o przywrócenie do czynnego życia politycznego starych działaczy, o wyjaśnienie problemu AK. Dyskutowano nad pracą sekretarzy: Hołoda, Andrzejewskiego, Libberka, Korczaka. Wysłuchano gorącej polemiki między zaproszonymi na obrady przedstawicielami ZW ZMP i „Rewolucyjnej Grupy Studentów”. Na salę obrad przybyły delegacje: byłych partyzantów i kobiet lubelskich. 25 października wieczorem Egzekutywa KW złożyła rezygnację. Szalę tej decyzji przeważała uczestnicząca w obradach Helena Kozłowska, członek KC, stwierdzając, że „jeśli trzeba zmienić egzekutywę dla dobra całej organizacji partyjnej, to trzeba to stanowczo uczynić”. Obrady kontynuowano 26 października. Trwał impas związany z wyborem nowych władz KW. Uzgodniono kandydatów do nowej egzekutywy, ale członkowie KW nie widzieli w swoim gronie godnego kandydata na I sekretarza. Ktoś podsunął wniosek, by wybrać odcenego na sali Władysława Kozdrę, przedstawiciela KC PZPR, pełniącego funkcję zastępcy kierownika Wydziału Rolnego KC. Po wyrażeniu zgody przez Warszawę, wybrano go I sekretarzem KW; Kozdra miał wówczas 36 lat. Jeszcze młodszy, bo liczący 35 lat, był nowy sekretarz ekonomiczny, Jakub Switlak. Sekretarzem organizacyjnym pozostał J. Andrzejewski, zaś rolnym wybrano Bazylego Hołoda.

Tego samego dnia, 26 października, odbyło się otwarte zebranie organizacji partyjnej w FSC z udziałem sekretarza Kozdry. Jego uczestnicy uznali, iż KZ PZPR i Rada Zakładowa w fabryce oderwały się od zalogi i dlatego muszą ustąpić. Zebranie to było jednym z przejawów ogromnej aktywności społeczno-politycznej mieszkańców województwa. W lubelskiej chłodni załoga postanowiła pożegnać się ze swoim dyrektorem, wytykając mu dyktatorski sposób bycia i tłumienie ludzkiej inicjatywy. Podobnie w Lubelskich Zakładach Chmielarskich: wobec zarzutów przedstawionych przez załogę dyrektor złożył rezygnację, wybrano nową egzekutywę POP i Radę Zakładową. Takie zebrania trwały przez cały listopad i grudzień 1956 r. Załogi wszędzie poczuły się gospodarzami zakładów, upominały się o swoje prawa, omawiały stosunki w miejscu pracy, demaskując wynaturzenia minionego okresu. Kliki, kacykostwo, nieufność

i podejrzliwość wobec robotników, niewłaściwe odnoszenie się do ludzi. Była to ciężka czasa dla lubelskich dyrektorów. Woła załóg zmieniono ich w LFMR, CPN, w Zjednoczeniu Budownictwa Miejskiego, WPHO. Wybierano nowe rady zakładowe i egzekutywy POP lub KZ PZPR. Śmiało i konsekwentnie wprowadzano w czyn postulaty VIII Plenum. Powoływano pierwsze samorzady robotnicze, m. in. w Lubelskich Zakładach Przemysłu Piekarniczego i Cukrowni Lublin. Załogi przedsiębiorstw budowlanych ostro protestowały przeciwko narzuceniu im — bez konsultacji — kandydatów na posłów do Sejmu.

Ruszyło się w terenie. 27 października, z inicjatywy grup rewolucyjnej młodzieży studenckiej, zorganizowano w Zamościu wiec z udziałem czterech tysięcy mieszkańców miasta. Zamojscy działacze bardzo się bali tej manifestacji, odkładając termin wiecu z dnia na dzień. Kiedy wreszcie stał się faktem, skierowano nań zorganizowane grupy z zakładów pracy i szkół ze szturmówkami, a wyznaczeni wcześniej mówcy zabrali „uzgodniony” głos. Apelowano do zebranych, „żeby się uspokoił i że w Zamościu nie potrzeba zmian personalnych”. Ale te zabiegi okazały się bezowocne — dzięki wystąpieniom Stanisława Stanisławka (delegata lubelskich studentów), tow. Iwaszki z FSC, Adeli Rychel, reprezentującej ZMP Zamojszczyzny, dr. Jerzego Czuryckiego ze Szczepreszyna. W gromadzie Kalen w powiecie puławskim mieszkańcy wybrali nową Gromadzką Radę Narodową, usuwając ludzi skompromitowanych. We Włodawie walka toczyła się o usunięcie słabych działaczy z Prezydium PRN, bronili ich co prawda kierownictwo KP PZPR, ale grupa aktywistów Frontu Narodowego przeforsowała kandydaturę byłego przewodniczącego Prezydium PRN, usuniętego ongiś niesłusznie decyzją „z góry”. Mieszkańcy Świdnika zażądali na wiecu uaktywnienia się swojej rady narodowej.

Zła sytuacja w radach narodowych znalazła swoje odbicie podczas sesji WRN w Lublinie 27 października. Prezydium WRN, spodziewając się krytyki, nie zaprosiło po raz pierwszy na sesję przewodniczących prezydiów powiatowych rad narodowych. Przewodniczący Prezydium WRN Jerzy Popko wygłosił fatalny, ogólnikowy referat na temat zadań rad po VIII Plenum, a atmosfera na sali uległa zaostrzeniu, kiedy wiceprzewodniczący PWRN Jan Kisielewicz stwierdził, że nie zna tego referatu przedstawionego jako dokument całego Prezydium. Ponad 20 radnych dokonało w dyskusji bezpardonowej krytyki władz wojewódzkich i w konsekwencji radny Wajskop postawił wniosek o wotum nieufności dla członków Prezydium WRN.

Ruszył wówczas na sali istny kołowrotek: nie przyzwyczajeni do krytyki urzędnicy usiłowali bronić swoich stołków. Załamała się prowadząca sesję radna Szydłowska, ogłaszając przerwę w obradach, wykorzystaną przez przewodniczących klubów radnych: PZPR — B. Hołoda i ZSL — W. Gawilka na zwołanie posiedzeń obu zespołów. W rezultacie kluby przyjęły wniosek: przerwać dyskusję, odłożyć wybory do następnej sesji. Krytyka była zbyt daleko idąca, nieprzewidywana. Chciano odfajkować jeszcze jedną „młiczącą” sesję, a tu radni poszli zbyt daleko. „Proces demokratyzacji podkopano na szczeblu wojewódzkim” — komentował następnego dnia „Sztandar Ludu”.

Manipulacje te — jakbyśmy dziś powiedzieli — wywołały gorący protest pracowników WRN. W liście otwartym na łamach prasy uznali oni, że „została złamana w ten sposób zasada demokracji i praworządności ludowej”. Na zwołanym po sesji zebraniu Komitetu Zakładowego PZPR przy WRN dokonano krytyki członków Prezydium WRN i postanowiono wybrać trzyosobową delegację, która wspólnie z dziennikarzem „Sztandaru Ludu” udała się do szpitala, gdzie przebywał chory Paweł Dąbek. Rozmawiano na temat jego powrotu do pracy w radach narodowych. Konsekwencją tych działań okazała się rezygnacja przewodniczącego PWRN Jerzego Popki, złożona 3 listopada na posiedzeniu Prezydium.

Istną rewolucję przeżyła lubelska Miejska Rada Narodowa. Na listopadowej sesji przewodniczący Prezydium MRN Jan Ujma zgłosił wniosek o odwołanie, za złe wykonywanie obowiązków, zastępcy przewodniczącego Prezydium Z. Ungerta i czterech kierowników wydziałów. Następnie do sali obrad wkroczyła delegacja robotnicza i zażądała ustąpienia samego Ujmy i jego zastępców! Sesja zakończyła się po kilkunastu godzinach, w nocy z 30 na 31 października. Podjęto ważne decyzje w sprawie zmiany nazw: Placu Stalina na Plac Litewski, ul. Stalingradzkiej na Lubartowska. Radni zwołili z zajmowanych stanowisk zastępców przewodniczącego Prezydium: Zdzisława Ungerta i Edmunda Popławskiego.

9 listopada podobne zmiany dokonały się na sesji WRN. Tym razem wybór nowego składu urzędujących członków Prezydium dokonał się bez przeszkód. Wzburzenie opinii publicznej po poprzedniej sesji zrobiło swoje... Radni owacją powitali wybór na przewodniczącego Prezydium WRN Pawła Dąbka. Wiceprzewodniczącymi zostali: Bolesław Napierek (ZSL), Jan Kisielewicz (PZPR), Marian Wójcik (SD) i Stanisław Zaklewicz (ZSL).

Nacisk na zmiany personalne trwał we wszystkich organizacjach i na wszystkich szczeblach. W listopadzie na wojewódzkiej konferencji Frontu Narodowego (poprzednika dzisiejszego FJN) powołano nowe Prezydium Wojewódzkiego Komitetu FN. Jego przewodniczącym został prof. dr Bohdan Dobrzański, rektor WSR.

Szczególnie ożywienie trwało nadal w organizacjach partyjnych. Mimo upływu czasu siły demokratyczne, zwolennicy reform wciąż dopiero walczyli o zwycięstwo. Na plenum Komitetu Miejskiego w Lublinie wybrano nową egzekutywę KM. I sekretarzem został Marian Dudek, a sekretarzami: Wacław Świąder i Czesław Wójcik. Ostro krytykowano częste zmiany dokonane 26 października

ka w kierownictwie Komitetu Wojewódzkiego. Protestowały całe środowiska: inteligencja partyjna, członkowie partii zrzeszeni w ZBoWiD, część aparatu. Wywierano stały nacisk na KW, żądając ustąpienia sekretarzy z poprzedniego okresu — Andrzejewskiego i Hołoda. Członkowie partii widzieli w obecności tych dwu sekretarzy, znanych dobrze z działalności w okresie stalinowskim, niepokojący fakt połowicznego zwycięstwa sił reformatorskich w partii.

W takiej atmosferze zebrał się 17 listopada Komitet Wojewódzki. Omawiano realizację uchwał VIII Plenum w Lubelskiem, ale wszyscy czekali przede wszystkim na przystąpienie do punktu obrad, który brzmiał: sprawy organizacyjne. Po wystąpieniu Wł. Kozdry, w którym m. in. zakomunikował on o złożeniu rezygnacji przez sekretarzy Andrzejewskiego i Hołoda, ogłoszono przerwę w obradach. Na salę weszła wówczas delegacja lubelskich kolejarzy, potem grupa członków partii ze ZBoWiD — byłych partyzantów Lubelszczyzny; następnie przybyły: reprezentacja robotnicza z FSC i przedstawiciele Rewolucyjnego Związku Studentów. Wszystkie te grupy przedstawiały członkom Komitetu Wojewódzkiego punkt widzenia swoich środowisk na sprawy personalne, żądając ostatecznych zmian w kierownictwie Komitetu, niektóre przedstawiały nawet propozycje osobowe nowego składu Sekretariatu. Kolejarze wystąpili też z postulatem przekazania gmachu KW na szpital kolejowy...

Po burzliwych obradach, trwających nieprzerwanie 20 godzin i zakończonych o godz. 5.30 nad ranem 18 listopada, wybrano nowe kierownictwo Komitetu Wojewódzkiego. I sekretarzem został Stanisław Szot, popierany mocno przez członków partii ze ZBoWiD, a sekretarzami KW — Władysław Kozdra, Edward Machocki i Jakub Switlak. Zmiany dokonane na tym plenum satysfakcjonowały członków partii i społeczeństwo.

Równoległe głębokim przeobrażeniom ulegał ruch młodzieżowy. 18 listopada, na zebraniu przedstawicieli UMCS, WSR, AM i KUL, postanowiono utworzyć Rewolucyjny Związek Studentów, organizację polityczną słuchaczy szkół wyższych Lublina. RZS uznawał politykę PZPR, zapowiadał współpracę z partią, podkreślając jednocześnie, że jest niezależny od nikogo, deklarował bezwzględną walkę ze stalinizmem i ludźmi go reprezentującymi, a zarazem popierał szczerych zwolenników demokracji. Powstanie RZS było usankcjonowaniem instytucjonalnym żywiołowego ruchu studenckiego, zrodzonego w dniach Października.

Poruszenie trwało też w innych środowiskach młodzieży Lubelszczyzny. Domagano się reaktywowania Związku Harcerstwa Polskiego. Na 1 grudnia zapowiedziano zjazd działaczy młodzieżowych województwa, zainicjowany przez utworzony w listopadzie Tymczasowy Komitet Organizacyjny Rewolucyjnego Związku Młodzieży. Z tego m. in. ugrupowania powstanie w 1957 r. Związek Młodzieży Socjalistycznej.

Listopad 1956 r. na Lubelszczyźnie, okres, który trzeba zakwalifikować politycznie jako naturalne przedłużenie Października, charakteryzował się nadal niespotykaną aktywnością wszystkich środowisk społecznych i organizacji. W Lublinie powstał wówczas np. Tymczasowy Rewolucyjny Komitet Ochrony Ruchu Spółdzielczego. Wybrano nowe władze ZBoWiD w województwie, przewodnictwem Zarządu Wojewódzkiego powierzając Władysławowi Kuszykowi. Domagano się nadal połączenia wyższych uczelni Lublina w jedną szkołę; taką rezolucję podjęto m. in. podczas zebrania POP w Wyższej Szkole Rolniczej, uważając, że wyłączenie WSR z UMCS nie miało sensu, a „rozbudował się tylko aparat administracyjny”.

Nowy Komitet Wojewódzki podjął w końcu miesiąc decyzje, które społeczeństwo przyjęło z wielkim uznaniem. 28 listopada 1956 r. odbyła się w KW PZPR specjalna narada, w trakcie której omawiano tragiczną sytuację mieszkaniową w Lublinie. Ujawniono, że 169 rodzin mieszka w domach grozących zawaleniem, a 1200 rodzin gnieździ się w wilgotnych piwnicach i suterrenach. Na porządku dziennym stała sprawa pełnego wykorzystania gmachów Urzędu Bezpieczeństwa, KW PZPR, Prezydium WRN, KW MO. Zmniejszając liczbę pracowników w tych instytucjach, zamierzano uzyskać 150 izb mieszkalnych dla robotników. I sekretarz KW, Stanisław Szot, zalecił zbadanie sytuacji mieszkaniowej wysoko postawionych urzędników KW, wojska, UB, PWRN i dokwaterowania tym, co mają dobre warunki, innych pracowników danej instytucji, którzy nie posiadali mieszkań. Ożywioną dyskusję wywołał postulat przekazania gmachu KW na potrzeby kolejowej służby zdrowia. Ustalono, że adaptacja budynku jest nierealna z powodu ogromnych kosztów, a ponadto obiekt nie ma zaplecza niezbędnego dla szpitala. Wobec tego, aby właściwie wykorzystać pomieszczenia, postanowiono do gmachu KW przenieść redakcję „Sztandaru Ludu”, Życia Lubelskiego”, PAP, Zarząd Wojewódzki TPPR i inne instytucje, a opuszczone przez nie lokale przeznaczyć na mieszkania. Do liczącego 280 izb gmachu UB przy ul. Narutowicza polecono przenieść KW MO z ul. Okopowej, zaś do pomieszczeń na ul. Okopowej — KM MO z ul. Lipowej, a na Lipową — wydział PWRN. Opuszczone przez PWRN izby (około 200) miały być teraz mieszkaniami.

Dział się więc lubelski Październik. Dni przebiegały pod hasłem obletnic, zażartych dyskusji i deklaracji. Dokonywała się naprawa Rzeczypospolitej. A że nie dokonała się do końca, to inna sprawa. W tym względzie doświadczenia Lubelszczyzny były takie, jak w całym kraju.

Stanisław Jadczyk

PUCHAR

Alfred Siatecki

PUCHAR był bardzo ciężki i przejrzysty, ze szkła krzemowego, na pół metra wysoki; z jednej strony — wyryty delikatną kreską półkolisty herb miasta, z drugiej zaś — oplatający napis zauważalny nawet z daleka; w środku — karminowa plama przypominająca rozciągniętą na jesiennym wietrze flagę, otębiała to też być szkła. Kierownik wydziału kultury, Manfred Giermek, wszedłszy do pokoju pełnego dymu papierosowego, postawił puchar na stole obok pustej filiżanki po kawie; nie mówiąc, zrobił mały krok do tyłu, żeby raz jeszcze przyjrzeć się dziełu, bo było to najprawdziwsze cacko, nie maśółka z prywatnej wytwórni docenta Szyncla, gdzie zawsze kupowano wazon, drewniane talerze, beczulki różniące się tylko ceną. Giermek dobrze wiedział, że za chwilę wojewoda cmoknie z zachwytem, uśmiechnie się chwyląc kierownika; już nawet widział, chociaż stał za jego plecami, dołki wyśnięte w policzkach starego, chciał jeszcze coś dodać, żeby uśmiech przedłużyć, spotęgować, wtedy Panek huknął:

— Do cholery! Kto to wymyślił? — Odwróciwszy się do Giermka, zaciskając ze złości sine usta, powtarzał: — Kto? Kto? Kto?

Kierownik Giermek, opuściwszy głowę na pierś jak złamaną gałąź, nie wskazując nikogo, nie usprawiedliwiając się, milczał. Dopiero po dłuższej chwili podniósł oczy i wzrokiem wbił się w nieruchomą, posagowaną twarz wicewojewody Etnarchy, który ciągle był taki sam, obojętny na gniew Panka, lekceważący mądre uwagi Giermka, chyba nigdy nie myślący, czasem jedynie udający myśliciela. Dwaj wicewojewodowie — rolny Byków i budowlany Handke — zerwali się z miejsc. Pokój nie był za duży ani też mały, każdy z obecnych zajmował koniec czworoboku stołów; wicewojewodowie sapytali prawie równocześnie:

— Jak by o połowę obciąć? — Kto to kazał napisać? — łagodniejszym głosem zapytał Panek i niedbale wskazał palcem na napis zauważalny z daleka.

Dopiero teraz wicewojewoda Byków swoim grubym głosem odczytał:

— „Towarzyszowi Janowi Kulaszewiczowi, posłowi naszej ziemi od Stanisława Panka”. No nie, Giermek, pieprzył straszne głupstwo! Człowiek odpowiedzialny za kulturę i takie głupstwo? Czy ty myślisz? — Pochylając się nad głową starego wojewody dodał pewnie: — Szeffie, on to naprawi.

— Co naprawisz? Gumką wymażesz? — Jego sprawa, jak zrobi.

Giermek nawet się nie zaczerwienił, nie ruszył się z miejsca pod oknem i nie był zdenerwowany ani zły. Na jego pociągłej twarzy, urzędowym obliczu kierownika wydziału kultury, zawodowego poety, tłumacza i laureata ubiegłorocznej nagrody wojewody, nie można było doszukać się drwiny. Ale kto go znał, wiedział, że od dawna kpil ze zbiorowych ocen wygłaszanych w pokoju przylegającym do gabinetu wojewody, a już najbardziej irytował Giermka pierwszy jego zwierzchnik i

decernent, wicewojewoda Etnarcha, który ciągle siedział w wyznaczonym mu dziesięć lat temu końcu stołów i udawał myślicielem. Giermek zdecydował, że teraz powie, co myśli o zwierzchniku, dłużej nie zniesie głupich decyzji i fałszywych pouczeń, ale zrezygnował nie chcąc wywoływać jeszcze jednej z burz, którymi prawie zawsze kończyło się cotygodniowe spotkanie wojewodów.

— Ze szczeniakami tak zawsze. Dolny czy lepszy był, chociaż doktor habilitowany, niezły okulista? A nie umiał pokierować służbą zdrowia, nowy szpital śnił mu się po nocach. Zamiast wykorzystać rezerwy tkwiące w... To samo z tym, poetą. — Z rękoma założonymi do tyłu, chodząc po karminowym dywanie wzdłuż okien, ciągnął Byków. — Brak doświadczenia politycznego, kłopoty z trzeźwą oceną aktualnej sytuacji, w ogóle... Synu, praca w urzędzie wojewódzkim to nie zabawa w harcerstwo, tu trzeba myśleć kategoriami sytuacyjnymi, wczuwać się w położenie towarzyszy z centrall, że tak powiem, naszych mocodawców. Tylko dzięki nim i ich dalekowzroczności zajmujemy odpowiedzialne stanowiska. Ani ciebie, ani też nas nie wybierali ślusarze czy traktorzyści, nawet ci twoi poeci, których bronisz, a oni tyle walczyli, co... Nas, synu, partia postawiła. I co, chcesz, żeby przez twój idiotyczny brak doświadczenia towarzysza wojewodę Panka przeniesiono do innego województwa? Jego, za to, co zrobił dla rolnictwa, dla nauki?... A może ty byś?... Podobno nie podobają ci się zarządzenia wojewody? Ludzie w kulturze robią, co chcą. Szeffie, trzeba z tym burdelem skończyć! Kultura kulturą, ale w naszym mieście nie ma porządnego cyrku, striptisu od przypadku do przypadku, żadnego nocnego kabaretu.

Wicewojewoda Etnarcha, założywszy okulary na nos, uznał, że teraz może

wstać, zapalić carmena, z rękoma wspiętymi w kieszenie spodni podejść bliżej, skrzywić usta, oceniając pracę artysty, burknąć na Giermka, bo Byków najgorsze już powiedział. Etnarcha nie zgadzał się z Bykowem, ale nigdy tego głośno nie powiedział, wolał przytakiwać, ganić młodego i nie-doświadczonego, jak często powtarzał, Giermka, z którego kiedyś będzie porządny kierownik wydziału, być może nawet wicewojewoda.

— A ty co na to, Wiesiek? — zapytał Panek, przyglądając się nijakiemu grymasowi na twarzy Etnarchy.

— Trudna sprawa. — Wicewojewoda wywał górną wargę. — Wspaniałe dzieło artysty, czołowego szklarza tej specjalności w kraju, który w niezwykle krótkim terminie, odrzucając wszystkie inne pilne zajęcia, na moją prośbę zgodził się wykonać kryształ. Muszę dodać, że podobne upominki wręczone są dyplomatom akredytowanym w naszym kraju. Co z tym zrobić? Hm, jakiego wyjęcie być musi.

— Giermek — odezwał się poważnie zakłopotany Byków — za własne pieniądze pojedź do Wrocławia, poprośz tego, no...

— Docenta Kiczulę — podpowiadał Etnarcha.

— ...I każeś poprawić. Ma być: Towarzyszowi Janowi Kulaszewiczowi, sekretarzowi KC, posłowi naszej pięknej, gospodarnej i kulturalnej ziemi, drogiemu przyjacielowi od wojewody Stanisława Panka. Prawda, szeffie?

— Edek! — wrzasnął Panek waląc pięścią w stół.

— Szeffie, tak będzie najlepiej. — Byków, zdziwiony oburzeniem wojewody, stanął w pół kroku jak skamieniały. Panek już machał rękami, jakby odganiał muchy, chociaż w pokoju pełnym dymu nie było słyhać żadnego

Józef Zięba

W SCUOLA DI SAN ROCCO

Fasada starego pałacu
w majestacie i harmonii
kolumny łuki portale w dokładnych proporcjach
i wieków sen na ścianach
Niskim półkolem schodki laszą się w wejścia
i mroczna brama w ciemność się wydłuża
To tu zmierzalesz błądząc w weneckich zaułkach
Scuola di San Rocco bez krzykliwych reklam
nikogo nie ludzi i nie zwabia
Jeśli chcesz
odstąpi jej kotarę cienia
zanurz się poza linię życia
wejdź
to dom Tintoretta
Przestrzeń mroczną i wilgocią
powita ciebie sędziwy gospodarz
Powoli się z tym światem przeszłości oszczędzając
niepewny wzrok przesuwasz
przesuwasz
Aż tu nagle huragan
Tintoretta osacza cię burza
Oslupiałe stajesz i wylękły
Czerwień jarząca pod popiołami ogniska
ciemna zieleń wydobyta z dna
Dzieje się misterium światła
Z długich płócien plafonów poprzez uniesione
lustra
ze ścian prostopadłych przenika
zagarnia
do Zwiastowania z tłumem aniołów spadających
z nieba
do Narodzenia skrytego pod dachem w
belkowaniach
do sądu Pilata który myjąc ręce głowę odwraca
by go nie razila prawość wyniosłej postaci
Chrystusa
i aż do Golgoty krzyża wzniesionego wysoko
ponad ludzkie dzieła
Tylko przerażone drzewa
i poruszone żywiołem niebios
wydają się pojmwować wizję Tintoretta

Z LIDO KU WENECJI

Za bardzo spieszy się dziś wodny tramwaj
za śrubą pieni się zielona woda
i rozchodzi za rufą coraz szerszą falą
Vaporetto łączy Lido z Wenecją łukowatą linią
Zbliżają się i oddalają maleńkie wysypki
Stońca jaskrawą czerwienią wylacza na murach
Obok budowli stare drzewa
Najbliższa
San Servolo
największa
San Giorgio
Jeszcze jedno spojrzenie
i żegnaj
bo tu już Canaletto szykuje swój obraz
e naiwną radością niewinnego dziecka
cieszy go linia wyrazista
wykreślona w bieleń czerwieni i agrań
Jaka w tym mieście nierealność chwiejna
Aretino Verocchia Goldoni i Tycjan
w pełni błękitu i złota
wita ciebie Wenecja
po raz pierwszy ujrzana w radości pogody i
światła

Jak naga Wenus Giorgiona
pośród laguny wygadnego łoża
przez wieki płynąca
ku nam

PRZED PALACEM DOŻÓW

Dawną potęgą jeszcze przygnięta
ciężar zawieszony na smukłych kolumnach
pałac wpisany w dzieje tysiąclecia
Jego nazwa jeszcze przypomina
majestat ukształtowany z kamienia
Jeszcze kolorowa szachownica lini na nim
jako wschodnia szata
Najjaśniejsza
Rzeczpospolita
Adriatyku Królowa
zdegradowana już do nazwy miasta
Pamięć
i bań
coraz bardziej mchem porastająca
zamierzczyła
Wyobraźnia sili się daremnie
by odtworzyć zanikający obraz
Odeszli
przemięgli
Jala ich zmłotła
całe pokolenia
Jedynie pałac
jak płaszcz zmarłego doży
którego czasowi dotykać nie można
Dla tych którzy przyjdą po nas
może tylko nazwa

NA SCHODACH GIGANTÓW

Po tych schodach
toczyła się głowa Marino Feriara
Struga krwi spłynęła
po lśniących białych stopniach
Zamach na Najjaśniejszą
się nie udał
Mściwość Weneccjan
z portretów kazala go wymazać
Odszedł wielki doża do krainy cienia
Po nim umierała potęga państwa
na lądzie i na morzach
Jedynie dwaj Giganci
jak dawniej bronili do pałacu wejścia
Ręka Jacopo Sansovina
przywołała ich z bryły kamienia
do ciągłego czuwania
I liczy się dziś tylko sprawność
rzeźbiarskiego dłuta

W BAZYLICE ŚWIĘTEGO MARKA

Gotycki portal wiele zapowiada
i cwałująca spłżowa kwadryga
Cóż z tym wspólnego masz Ewangelisto
skradziony w Aleksandrii przez weneckich kupców
Gwałtowność w Tobie jako burza wlelka
jako huragan i jak nawałnica
Wchodzących w półmrok natychmiast ogarniasz
szumem aniołów
jasną barwą złota
marmurów tęczą błyszczącą na ścianach
i tłumem ludzi wstrzymywanych w mozaikach
Tutaj świat cały z miasta Konstantyna
orszaki świętych w bizantyjskich szatach
łuki szlachetne wsparte na filarach
namiot sklepień i kopuł okrywa
Zgłodniałe oczy i uszy przesycę
wieków minionych ciągle brzmiący chorał
Noe przy arce wśród zwierząt i ptactwa
raj utracony i zdziwiona ewa
Świat ten tak nagle przypada do gardła
w uścisku krtani przeczuwanych pytań
że na kolanach czlowieczy się małość
pokornie skłania
bezdźwięczną stając się modlitwą
Bądź pochwalona zatrzymana ręko
co przed zapładą
świat ocalasz ludziom

byczenia. Byków stał, nie nie rozumiał.

— Powarlowali, jak Boga kocham! Idiocie! Za jakie grzechy Pan Bóg tak mnie karze! — Dudniąc drobnymi palcami po lśniącym blacie obciążonego mahoniem stołu, Panek już spokojniejszym głosem dodał: — Towarzyszu Giermek, podoba mi się ten puchar, nowoczesny, rzadki, ale, na miłość boską, co pomyśli sekretarz Zrabda? Puchar tylko ode mnie, a on co? On, partyjny gospodarz województwa, przewodniczący rady, poseł, członek KC, on nie ma upominku dla...

— No to, szefie, dopiszemy: i od Zrabdy Józefa.

— Najpierw musi być wymieniony pierwszy sekretarz. Jeszcze gotów pomyśleć, że prowadzę własną politykę.

— Jak by tak alfabetycznie? — odpowiedział Byków.

Etnarcha, wcześniej znacząco mrugnąwszy do Giermka, rzekł: — Szefie, u szefa w gabinecie obaj uzgadnialiśmy, jak ma być. Zapropnowałem kilka wersji, wcześniej na nasze zlecenie przygotowanych przez profesora Ogółę. Tę szef uznał za właściwszą. Przecież napis na kryształce nie może być za długi, bo każda literka kosztuje. Docent Kiczula się ceni.

— Nie chodzi o cenę, Wiesiek — wtrącił Byków. — Pieniądze nie grają żadnej roli, ma być fachowo, mądrze, no i sympatycznie. Dałbyś to towarzyszowi Kulaszewiczowi i co pomyśli? Ciebie nie odwoła, boś z klucza, ale my partyjni. Za takie niewinne głupstwo można... Sam dobrze wiesz.

Giermek podszedł do stołu, o nie nie pytając, nie patrząc nawet na zamkniętego wojewodę, podniósł ciężki puchar i skierował się do obitych białą skórą drzwi. Były zamknięte. Prosząc popatrzył, żeby ktoś je otworzył, ale żaden z obecnych nie szedł w jego

stronę, chociaż wyraźnie czekał, kiedy wyjdzie. Ponownie postawił puchar obok pustej filiżanki, otworzył drzwi przytrzymując je nogą, stanął w rozkroku i wyciągnął ręce w kierunku stołu.

— Pomóście mu — powiedział wojewoda Panek.

Sekretarka, pani Maria, kobieta najbardziej zorientowana w urzędowych stosunkach, już niemłoda, ale należycie zadbana, zawsze mająca czas dla młodzieży kierowników, zerwała się z fotela, zamykając drzwi za Giermkim powiedziała:

— Ile kosztuje?

— Szesnaście.

— Zaakceptowali?

— Nie.

— Z góry wiedziałam, że tak będzie. Na drugi raz niech pan magister nie podaje ceny. — Pani Maria wśród kierowników wyróżniała tylko pułkowników i magistrów, lekceważyła doktora Etnarchę, bo, jak często powtarzała w stołowie, wstyd, żeby nauczyciel mądrzejszych od siebie wychowywał. W urzędzie było czterech doktorów: konserwator zabytków, kierownik wydziału zdrowia, inspektor do spraw wyznań Chłopecka-Matyjaszczykowa (żona profesora Ogóły) i wicewojewoda Etnarcha. Wśród nich, zdaniem pani Marii, jedynie długonosy doktor Patyk był prawdziwym doktorem. Nikt nie wiedział, dlaczego ceniła pułkowników i magistrów, których w urzędzie było więcej niż dni w roku. Lubila, gdy raz w roku wojewoda Panek przywdziewał mundur pułkownika. — Z doświadczenia wiem, że najlepiej przynieść dwa, trzy prezenty, każdy oczywiście inny. Wybiórą najbrzydszy. Potem może pan magister przynieść ten, który chce, oni i tak nie pamiętają — głową wskazała drzwi, za którymi by-

ło coraz głośniejsze. Najwidoczniej kończyło się spotkanie. — Wojewoda Etnarcha dawno odkrył tę słabość starożytności, dlatego ciągle wstawia jakieś defakta. Swoją drogą, pana szef, chociaż doktor, za grosz nie ma gustu. Niech pan zobaczy, jaką dziś założył koszulę. Zieloną w czerwone paski i do tego fioletowy krawat z poprzedniej epoki.

Giermek kiwnął głową, co mogło oznaczać, że niewiele obchodzi go koszulki i krawaty Etnarchy. Pani Maria uśmiechnęła się; zakładając nogę na nogę, jakby miała siedemnaście lat i naprawdę zgrabne łydki, dodała kokieteryjnie:

— Proszę się nie przejmować. Stary, to znaczy wojewoda Panek, bardzo ceni pana magistra. Przemówienia na posiedzenie egzekutywy są wysłuchane. Poezja jak woda kapie, metafory, przenośnie, słowem, sam miód.

Było to kilka lat temu, kiedy Giermek biegał w wyswiechtanym ubranku z klubu do klubu i wyglądał prelekcje na tematy moralne, a wojewódzką kulturę w jednej garści trzymał jego poprzednik, dziś ważny urzędnik w ministerstwie. Panek, zaniepokojony nikłymi postępami w muzycznej edukacji najstarszej córki, zaczął się łączyć telefonicznie z Towarzystwem Muzycznym imienia Henryka Wieniawskiego, ale nie powiedział tego wyraźnie, bąknął jakby od niechcenia, lekceważąco:

— „Połączcie z Wieniawskim”.

Minęło wiele minut, Panek coraz bardziej zdenerwowany, zachowując jednak pozory spokoju, czekał, chodząc po gabinecie, już miał wolać sekretarkę, chwycił kławkę i znowu czekał. Po dziesięciu minutach, niektórzy mówią, że po godzinie, pani Maria zdecydowanym głosem oświadczyła:

— „Wieniawskiego nie ma chyba w domu, bo nikt nie podnosi słuchawki”.

— „Każe kierownikowi wydziału kultury sprawdzić, jak tam pracują!”

— „Gdzie?”

— „W Towarzystwie Muzycznym!”

Dopiero wtedy pani Maria zrozumiała, ale na naprawę błędu było za późno. Śmiała się z siebie jeszcze bardziej niż inni z niej. Od tamtej chwili sekretarka wojewody zna na pamięć wszystkie instytucje wojewódzkie, zdjęła dyrektorów nosi w torebce, adresy domowe kaligrafuje w kalendarzu; taka wojewódzka informacja służbowa i prywatna. Wchodząc do gabinetu wojewody, mówi na przykład: Przyszedł obywatel magister XY, dyrektor naczelny Okręgowego Przedsiębiorstwa Przemysłu Zbożowo-Młynarskiego „Państwowe Zakłady Zbożowe”.

Po południu zatrzymam starego. Może pan magister wpaść na kilka minut. Już go wcześniej urobie — zrobiła taką minę, że Giermek parsknął śmiechem. Wszyscy wiedzieli, kto decyduje o humorze Panka. Pani Maria miała dużo czasu, stara panna, zadbana, przed urzędem nowy polonez w kolorze kawy z mlekiem, w Sulicach dąca sześciopokojowa, w mieście willa wsiadnięta między domki wojewody i budynek Pożycz Słówek. — A czy jakiegoś przeglądu najnowszych filmów z zakupu pan magister nie planuje? Bo wojewoda się interesuje. Czytałam w „Ekranie”, że w kinach studyjnych ma być wyświetlane „Ostatnie tango w Paryżu”, prawda to? Podobno wspaniała komedia?

Giermek kolejny raz kiwnął głową, nie zaprzeczając, chociaż nigdy o tym nie słyszał. Tak mu się dobrze rozmawiało z panią Marią, że zapomniał o pucharze.

Sprawa Armii Polskiej (3)

Stanisław Rostworowski

KADROWOŚĆ [Legionów] praktycznie przedstawia się w allegacjach ordre de bataille z dnia 5 listopada 1916 roku, jak również w danych wymienionych poniżej (zestawienie na podstawie działalności frontowej):

Wśród oficerów legionowych pełnili dotychczas służbę: 1 jako komendant dywizji, 4 jako komendanci brygad, 3 jako szefowie sztabu, dywizji, 3 dalszych wykwalifikowano na kursie sztabowym oficerów, który się odbył w lutym 1917 roku, jako zdolnych do pełnienia służby w rangach wyższych oficerów sztabowych, 7 dalszych jako niższych oficerów sztabowych, 8 jako adiutantów sztabowych.

W pułkach piechoty legionowej pełniło służbę wyższą niż komendantów batalionów — 20. Funkcje [ponadto] pełniło: komend. baonów — 45; komendantów plutonów — 683; komend. dział piechoty — 16; aspirantów oficerskich — 415; komendant. komp. — 168; kom. oddz. kar. masz. — 53; kom. komp. saper. i pionierów — 13; podoficerów — 7363.

W kawalerii i w artylerii ilość materiału oficerskiego jest ze względu na znaczną liczbę ludzi z cenzusem akademickim jeszcze znacznie wyższa.

Z zestawienia kadr piechoty wynika, że Legiony Polskie mogą zapewnić kadry oficerskie 42 batalionów, a więc w przybliżeniu 4 dywizji, wraz z odpowiednią ilością kawalerii, artylerii i oddziałów pomocniczych.

Kadrowość instytucji obsadzonych obecnie oficerami legionowymi:

1. sztab dywizyjny sanitarny;
2. sztab polowy i sanitareria;
3. zakłady transportowe i amunicyjne;
4. intendencja;
5. urzędy etatowe;
6. superiorat polowy;
7. szpitale wojskowe;
8. instytucje uzupełnień, a więc aparat zaopatrzeniowy obejmujący obecnie 17 inspektorów i 18 komisarzów;
9. ewidencyjny urząd;
10. urząd zastępcy dla rodzin wojskowych;
11. szkoły dla inwalidów.

Do wypełnienia istniejących kadr legionowych potrzeba będzie około 50 000 żołnierzy. Ponieważ chwilowo pod bronią znajduje się 20 000, więc dla wypełnienia dalszych formacji należałoby chwilowo uzyskać 30 000 rekrutów.

Dwie są możliwości uzupełnienia: werbunek ochotniczy i pobór przymusowy. W programie Rady Stanu leży przeprowadzenie chwilowo jedynie werbunku ochotniczego. Dzieje się to z następujących przyczyn:

1. Pomyślnie przeprowadzony werbunek ochotniczy będzie ze względów polityki międzynarodowej najlepszym dowodem na to, że naród polski naprawdę ma silną wolę utworzenia własnej armii dla obrony niepodległości. Pobór przymusowy w tych warunkach robiłby wrażenie narzucanej z zewnątrz inicjatywy.

2. Werbunek ochotniczy sprowadzi do szeregów warstwy najbardziej uświadomionej narodowo, co dla charakteru wojska jest czynnikiem nader ważnym. Napływ inteligencji wśród ochotników ułatwi wytworzenie dalszych kadr oficerskich i podoficerskich.

3. Werbunek ochotniczy wreszcie jest chwilowo jedynym atrybutem nie rządu, lecz najwyższego urzędu państwowego Polski, jakim jest Tymczasowa Rada Stanu. Nakaz poboru przymusowego może być zarządzony jedynie przez pełny rząd, przez regenta lub króla, a w jego przeprowadzeniu mogą brać udział tylko organa Państwa Polskiego.

Dopiero dalszym etapem rozbudowy armii polskiej może być normalny pobór, za którym przemawiają: większa równomierność materiału rekrutkiego, sprawiedliwy rozkład ciężaru na poszczególne odłamy społeczne różnicie uświadomione narodowo lub nawet nie zawsze poczuwające się do obowiązków wobec państwa, np. lud wiejski, Żydzi polscy.

O wydajności werbunku ochotniczego trudno jest dziś przesądzić, wiadomo bowiem, że rezultat jego w pierwszym rządzie zależy od ogólnego nastroju i zapału patriotycznego. Choć u Polaków tego ostatniego nie brakowało nigdy, to jednak wyżej skreślone położenie polityczne i gospodarcze i tak już bardzo silnie zniszczonego wojną i okupacją kraju mogło ten zapał osłabić, a nawet zniszczyć doszczętnie.

Jeżeli w tak ciężkich warunkach werbunek ochotniczy wyda rezultaty wy-

starzające na uzupełnienie obecnych kadr legionowych, i to już będzie wynikiem pomyślnym. Żeby ocenić, w jakich granicach możliwe jest powołanie do życia regularnej armii polskiej i jaką wartość będzie miało jej istnienie, trzeba w pierwszym rzędzie zwrócić uwagę na materiał ludzki będący do jej dyspozycji na terenie Królestwa Polskiego.

Obliczenia w tej mierze mogą być tylko przybliżone, gdyż statystyka rosyjska była bardzo niedokładną, a wykonanie jednorodnego spisu było dotąd niemożliwe. Opierając się jednak na dawniejszych obliczeniach i na cyfrach dotyczących rekrutów pobranych w Królestwie Polskim w latach 1911—1912, otrzymamy następujące rezultaty: wobec liczby 13 000 000 mieszkańców liczba ludności płci męskiej od 17-go do 45-go roku życia powinna wynosić około 2 000 000. Od tej liczby należy odjąć:

1. pozycje przypadającą na emigrantów zamorskich z roku 1913 i pierwszej połowy 1914;
2. pozycje pobranych do wojska rosyjskiego w latach 1910—1913, a więc tych, którzy zostali na czas wojny w szeregach rosyjskich;
3. rezerwistów i pospolitaków zmobilizowanych w ciągu obecnej wojny — 794 000 ludzi;
4. część roczników 1914, 15, 16-go pobranych na terenie Królestwa — około 70 000 ludzi;
5. ewakuowanych do państwa rosyjskiego w czasie ofensywy 1915 r. — około 230 000 mężczyzn;
6. wychodźców sezonowych do państw centralnych, wśród których werbunek jest przez rządy centralne niedopuszczony — około 35 000 mężczyzn;
7. robotników zajętych w górnictwie, hutnictwie itd. — około 30 000 mężczyzn.

Jeżeli te wszystkie liczby zliczymy, otrzymamy w sumie 1 173 000 mężczyzn, których odliczyć należy od sumy wyżej podanej. Różnica wyniesie okrago 600 000 ludzi zdolnych do broni, a 600 000 zdolnych do służby wojskowej bez uwzględnienia w danym wypadku jeńców Polaków w obozach austro-węgierskich i niemieckich, których jest około 100 000.

Jak wynika z tych obliczeń, do stworzenia licznej armii polskiej materiału

ludzkiego brakować nie będzie. Do wystawienia jej potrzebne są jednak odpowiednie warunki polityczne: tych nie zdołano jednak dotąd jeszcze uzyskać tak, że w obecnych warunkach jedynie werbunek ochotniczy może być aktualny.

Jak wspomniano wyżej, Legiony Polskie zostały dnia 16 kwietnia oddane gen. gub. Beselerowi jako organizatorowi armii polskiej. Gen. gub. Beseler jest osobą mającą duże zaufanie wśród społeczeństwa polskiego, które ocenia w nim pierwszorzędą się organizacyjno-wojskową, a całe jego postępowanie charakteryzuje zrozumienie i odczuwanie interesów polskich. Sama forma jednak przekazania mu Legionów wywołała duże rozgorzyczenie, gdyż udział Rady Stanu ograniczył się do biernego roli czynnika zawiadomionego oficjalnie o dokonanych faktach. Z wyjaśnień udzielonych przez gen. gub. Beselera już po oddaniu Legionów komendy wojskowej wynika, że tymczasowy udział sił polskich w formowaniu armii będzie dosyć ograniczony i tak np. oddział siły zbrojnej utworzony przy gen. gub. warszawskim (Polnische Wehrmacht), w którego skład wchodzi szereg oficerów niemieckich — ma przydzielonych jedynie 6 oficerów legionowych jako referentów i będzie chwilowo stanowił instytucję zastępującą polskie ministerium wojny. Takie ułożenie sprawy nie może budzić entuzjazmu u narodu polskiego, tym bardziej że równocześnie nie istnieje pewność, że przywrócenie oddawania agend i funkcji wojskowych w miarę wykształcania odpowiednich sił będzie się wyrażać w przechodzeniu ich w ręce polskie.

Te same uwagi tyczą się organizacji polskiego sztabu jenerałnego; i tutaj również w obecnych warunkach nie stworzono najmniejszego zawiązku polskiej instytucji, lecz poprzestano na przydzieleniu kilku oficerów legionowych. Ze materiał do prac sztabowych Legiony posiadają, dowodzi pomyślny wynik 6-tygodniowego kursu sztabowych oficerów, który odbył się w lutym i marcu 1917 r. w Warszawie pod kierunkiem oficerów sztabowych niemieckich, a na który uczęszczało 22 oficerów legionowych.

O ile w tych wyższych instytucjach ograniczenie ilości polskich sił wojskowych może być jednak zrozumiałe, o tyle w instytucjach pomocniczych postulaty polskie są do urzeczywistnienia i mają realne podstawy.

Tajemnica asygnaty

Krzysztof Woch

TRZYMAŁEM w ręku dokument upoważniający do odbioru samochodu osobowego marki Lada. Złoty, niepozorny, wydawałoby się, papier. Jednak, jest, funkcjonuje — pomyślałem. — Tyle, że nazywa się teraz asygnatą.

W drodze do lubelskiego „Polmozbytu” na ul. Melgiewskiej przypominam sobie sytuację sprzed kilku miesięcy. Mówiło się wtedy o talonowych asygnatach, o niesprawiedliwym podziale samochodów, czyli tak zwanych dóbr luksusowych wyższego rzędu. Sonda DTV wykazała nawet niezłobnie, że talony powinny być zlikwidowane co do joty. No, może z małym wyjątkiem; lekarzom terenowym, inwalidom i taksówkarzom niechby przysługiwały — opowiedziała się większość obywateli. Potem wszystko jakoś przyszło, dziennik przestał mówić o tej sprawie, a ludzie chyba pomyśleli: „Nareszcie nie będzie draństwa...”

Kierownik działu sprzedaży na Melgiewskiej, Edward Dudek, gestem zaprasza mnie do pomieszczenia biurowego. Wyjaśniam krótko, po co tu jestem. W odpowiedzi słyszę, że niewiele mogę się od mojego rozmówcy dowiedzieć, a to z dwu powodów. Pierwszy to ten, że kierownik od niedawna jest kierownikiem, a po drugie wskazane było skontaktowanie się z dyrektorem firmy. — Dla uniknięcia nieprzyjemności — wyjaśnia kierownik. Zanim trafię do dyrektora, pochodzą

trochę po salonie sprzedaży. Przyjrzą się kupującym. Wpierw jednak sięgam po informator usługowo-handlowy, gdzie tłustymi czcionkami wypisano: „Przedsiębiorstwo Obrót Samochodami i Częściami Zamiennymi Polmozbyt w Lublinie jest przedsiębiorstwem specjalistycznym w zakresie sprzedaży samochodów osobowych łącznie z talonami i wpłaty dewizowe”. Informator wydano w 1981 r.

Łady i ich nowi właściciele są w jakimś stopniu do siebie podobni: elegancja, dystynkcja, pełna kultura. Wcale mi nie wyglądają owi klienci na inwalidów czy taksówkarzy. Może sami lekarze terenowi?

Z uchwały nr 49 Rady Ministrów (z dnia 26 lutego 1981 r.): „W celu racjonalizacji systemu sprzedaży samochodów osobowych dla ludności zgodnie z postulatami załóg oraz opiniami i wnioskami wynikającymi z konsultacji społecznych, jak również w celu zapewnienia warunków do dalszego rozwoju zaplecza motoryzacji — na podstawie art. 8 ust. 3 ustawy z dnia 12 czerwca 1975 r. — Prawo bankowe (Dz. U. Nr 20, poz. 108) Rada Ministrów uchwala, co następuje: — Znosi się dotychczasowy system przydziałów i sprzedaży samochodów osobowych na imienne upoważnienia (tzw. „talon”).

Henryk Nowak, główny specjalista do spraw usług w „Polmozbycie” na Melgiewskiej, nie zna jeszcze treści uchwały nr 49, ale za to doskonale orientuje się w obowiązujących formach sprzedaży.

— Sprzedajemy łącznie za dewizy, na talony, czyli asygnaty, oraz w zamian za „przedpłacone” Fiaty 125 p i Wartburgi. Oczywiście, chodzi tu o przedpłaty sprzed kilku lat. Czy dużo sprzedajemy na asygnaty? Powiedziałbym, że minimalnie. Do tej pory, licząc gdzieś tak od czerwca, było ich niewiele ponad sto.

— Czy mógłbym przejrzeć faktury? — My panu dokumentacji nie udostępnimy. Nie, nie dlatego, żebyśmy panu nie ufali, ale musimy działać w interesie klientów. Jeśli chodzi o zbiorcze dane z rozbiorem na resorty, udostępnimy, owszem. Przydzielimy pracownika i wszystko dokładnie podliczy.

— Może jednak sam to zrobię? — Spróbuję się przy swoim. — Będzie mniej kłopotów.

— Prawdopodobnie, ale jesteśmy zdania, że mimo wszystko nie powinien pan sam przeglądać tej dokumentacji — wspomaga swojego kolegę Stanisław Rygliszyn, zastępca dyrektora ds. handlowych.

— To znaczy — atakuję z grubej rury — zakładacie panowie, iż coś jest nie w porządku?

— Nie, nie podobnego! Chodzi tylko o to, że nie mamy prawa zdradzać dokładnych danych dotyczących naszej klienteli. Co najwyżej same nazwiska, a i to...

W końcu przystaję na propozycję dyrektora Nowaka. Lepsza lista sporządzona przez pracownika „Polmozbytu” niż nic.

Postanowiłem zejść znów „na dół”, do salonu sprzedaży. Tam można dowiedzieć się najwięcej. Rozmawiam z wieloletnim pracownikiem tego działu, Zbigniewem Podlasińskim. Ten człowiek wiele już w swojej karierze widział. Wiele też musiał przemyśleć. Ale teraz mówi.

— Pracuję w dziale powołanym do obsługi klientów. I to obsługi kulturalnej i sprawnej. Nie jesteśmy uprawnieni do sprawdzania, kto kim jest, czy dostał asygnatę słusznie, czy też nie. Wykonujemy zwykle handlowe czynności. Człowiek jednak nie jest ślepy, widzi więcej niż myśli tam, na górze. Mówiło się najpierw o przydziałach dla lekarzy, inwalidów i taksówkarzy, ale to było tylko takie gadanie. Jak się tyle lat pracuje co ja, to można rozpoznać, że klient Iksiński nie jest inwalidą czy taksówkarzem, tylko jakimś ważniakiem, który nawet w dowodzie osobistym nie raczy mieć napisane, co porabia. Tak, tak. Pozwoliłem sobie parę razy zajrzeć do dowodów. Z czystej ciekawości.

Z informacji uzyskanej w Prywatnym Zrzeszeniu Handlu i Usług:

W Lublinie żaden taksówkarz nie otrzymał w 1981 r. przydziału na samochód (stan na koniec października).

Z apelu Komisji Interwencyjnej i Mediacji Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”:

„Jaskrawym naruszeniem porozumień sierpniowych jest nawrót do polityki marehewki przez ponowne wprowadzenie talonów samochodowych.

Zmieniły tylko nazwę na asygnaty”.

Obiecanej przez dyrektora Nowaka listy asygnat nie otrzymałem w terminie. Zużyłem jeszcze sporo czasu, zanim trafiły do mnie rezultaty trzymiesięcznego funkcjonowania asygnat. Zrealizowano ich w Lublinie ponad dwieście, a nie — jak twierdził dyrektor — sto.

Z danych udostępnionych przez dyrektora lubelskiego „Polmozbytu” wynika, że w ciągu trzech miesięcy (od

DZIEL I PLANUJ!

Dokończenie ze str. 1

nego (to znaczy istniejącego przed 1970 rokiem) układu administracyjnego niezmiennie pozostawi tylko granice państwa. I słowa dotrzymał.

Rzecz przeprowadzona bez zarzutu. Przede wszystkim przez cały czas przygotowań i realizacji manewru nie mówiło się o likwidacji województw tylko powiatów, tych kadłubowatych jednostek z ich, przeżartą korupcją i polityczno-biurokratycznym dryblem, wielotysięczną kadrami. Powiaty okazały się obiektywnie zbytnim ogniwem, utrudniającym kontakt na linii obywatel — władza. Ich likwidacja miała przynieść demokratyzację (nie zaś — demokrację), wzmocnić mił praworządności, usprawnić administrację itd. Stało się potem coś zupełnie odwrotnego do tych zamierzeń, a raczej obietnic, ale od samego początku szło o coś zgoła innego: o rozbiście województw.

I oto niemal nagle przeciętny obywatel uświadomił sobie, że zniknęły nie tylko powiaty, ale razem z nimi województwa; nie ma już ani powiatów ani województw, wyłonili się zaś nowe twory, pograżone w chaosie reorganizacyjnym, z ich nowymi uległymi szefami, nową kadrami nobilitowaną do rangi wojewódzkiej, przeważnie zwożoną w tęczałach ze starych województw, gorączkowo poszukującą drugich mieszkań (dotychczasowe oczywiście zatrzymała), a więc glazury, płytek, boazerii, kolorowych sedesów. Należało gwałtem wynajmować, powiększać lub budować lokale dla nowych instytucji i urzędów wojewódzkich, podwyższać ich standard.

Nieskończenie wyższe były koszty montażu nowych ogniw gospodarczych i usługowych, zaczynających często od stanu idealnie zerowego. Powołano np. Wojewódzkie Ośrodki Postępu Rolniczego dostawnie w szczerym polu, bez zaplecza technicznego i kadrowego. Biurokracja zamiast skurczyć się, gwałtownie się rozrosła. Wzorcowym

przykładem istnego pączkowania administracji niech będą potrzeby nowych Wojewódzkich Spółdzielni Mleczarskich. Aby z 17 stworzyć 49, należało przesunąć z produkcji do biur około 1600 osób, obowiązywała bowiem blokada zatrudnienia. Dla kontynuowania prac scaleniowych w rolnictwie województwa chełmskiego musiano oddelegować z Lublina kilkudziesięciu geodetów. Samochody służbowe dzień w dzień śmigły między starymi i nowymi siedzibami województw, wożąc mężów do rodzin pozostawionych na starych miejscach.

Ucierpiał zaopatrzenie i obsługa rolnictwa. Każdy powiat dorobił się w ciągu lat własnych magazynów, sieci skupu i handlu. Nagle to wszystko się rozpadło, znalazło się za granicą województwa, gminy. Rolnik spod Krasnegostawu, mając magazyn GS czy punkty skupu pod nosem, musiał teraz jechać 15 kilometrów do innego.

Na tle tych kosztów i utrudnień na miejsce dalekie, bo niewymierne w złotychkach, spadły społeczne koszty rozbicia tradycyjnych więzi regionalnych: kulturowych, historycznych, zwyczajowych i obyczajowych. Minie 100 lat, a największa bitwa partyzancka II wojny światowej, na Porytowym Wzgórzu, pozostanie w historiografii bitwą „na Lubelszczyźnie”, a nie w województwie tarnobrzeskim itd. itp.

Wszakże otrzymaliśmy nowe województwa i należało co prędzej usytuować się w nowych warunkach. Skończyło się wielkopanstwo 17 sekretarzy, ich przetargi i formalne walki o lokalizację atrakcyjnych inwestycji. Skończyły się niekiedy własne koncepcje, sięgające wręcz strategii socjalizmu. Gdy np. „Chłopska droga”, bądź co bądź organ KC PZPR, przestała w pewnym momencie przynajmniej negować potrzebę (oczywiście ograniczonej) koncentracji gruntów w gospodarstwach indywidualnych, to w Lublinie nadal „zdejnowano” każdą na ten temat publikację, czego przykładem m. in. artykuł niżej podpisany, zatytułowany „Kiedy polski farmer?”.

Trzeba przyznać, że grono wielkiej śledemnastki nie stanowiło jednak monolitu. Rodziły się i gasyły, nieznanie zresztą szerszej opinii, terytorialne animozje i sprzeczności interesów, zwłaszcza na

tle rywalizacji o inwestycje. Lubelszczyzna nie chciała pozostać jedynie w roli dostarczyciela kartofli dla Śląska, żądała przemysłu. Gdy w Komisji Planowania rodziła się koncepcja nowego wielkiego zakładu, w ruch szły układy. Tak było na tle lokalizacji fabryki elementów elektrotechnicznych dla Zamościa, lub, alternatywnie, dla Śląska (Kozdra — Gierek), tak było wcześniej z puławskimi „Azotami”, z odczynnikami chemicznymi w Lublinie. O wywalczaniu, nie zaś o planowaniu przestrzennym inwestycji — bo walka i przetargi towarzyszyły również powstawaniu nowych województw i formowaniu ich kształtu — nieco później. Wspomnijmy tu przecież, że gdyby w czasie wojny Piotr Jaroszewicz nie przekraczał Bugu pod Dubienką, którą potem, w latach 70-tych, obsypał gradem dotacji — i zapewne gdyby nie Manifest Lipcowy, nie byłoby obecnie na mapie województwa chełmskiego z jego przesadnymi ambicjami i ostentacyjną niechęcią do administracyjnej macierzy — Lubelszczyzny. Do dziś zresztą między nimi nie ma zgody co do strefy wpływów i obowiązków wobec Zagłębia Węglowego, bo czyje ono w końcu jest, skoro najlepsze pokłady zalegają w chełmskim, ale pilotująca zabudowa górnicza i kopalnie — w lubelskim?

Przykłady czy wręcz anegdoty (np. o surowszym karaniu kierowców z Lublina w Chełmie) można by mnożyć, ale animozje czy też zaleczone urazy przetrwają długo. Aż po VIII Zjazd PZPR. Właśnie wtedy Władysław Kozdra, może pomny na dawne układy Śląsk—Lublin—Gierek—Kozdra, w wystąpieniu na Zjeździe, wbrew atmosferze sielanki i apologii sukcesów, swoim zwyczajem trzymając niedbale rękę w kieszeni, rzucił nagłe z trybuny: „...A więc niedogrzone mieszkania, kolejki przed sklepami [...] gdy dzieci szkolne bez względu na porę roku i pogodę wędrują po drogach, szosach i polach, bo nie stać nas na zorganizowanie ich sprawnego dowożenia. Martwią mnie również zbyt wolne postępy w doskonaleniu planowania i zarządzania życiem gospodarczym i to, że ciągłe reorganizacje są wciąż eksperymentowaniem, nieostępy, na całym organizmie narodowym”.

Było to najbardziej chyba krytyczne wystąpienie, na Zjeździe, ale trudno się dziwić mówcy: w wyniku „eksperymentowania na całym organizmie narodowym” przeszedł z grona 17 do grona 49. Przemawiał zresztą z bezpiecznego już dystansu, u progu życiowej i politycznej emerytury. Jako człowiek przez 30 lat wysoko „nomenklaturowany”. Z kolei adresat tych słów wiedział, że mówca nie przekroczy umownej granicy lojalności, a szczypta krytycyzmu, sypaną w mdłą apologię sukcesu, stworzy pozory krytyki.

Było, minęło. Nie minęły tylko konsekwencje manipulowania terytoriami administracyjnymi. Po „reformie” niemal natychmiast w powstała luka

końca czerwca do trzeciej dekady września) wydano na asygnaty 55 1/2 dla resortu zdrowia, 50 dla resortu rolnictwa i służby rolno-weterynaryjnej, 37 — dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Ministerstwa Obrony Narodowej, 1 — dla Centralnego Związku Inwalidów, i ponad 50 dla rozmaitych innych resortów.

Na tę listę można patrzeć długo i namyślnie. Ale zapewniam, że nie mądrego z niej wyczytać się nie da. Może poza paroma znajomymi nazwiskami, w tym byłego prominenta, który odebrał niedawno ładę. Widocznie na dal dużo jeździ i dużo załatwia.

Większość nazwisk nie mi nie mówi, a trudno podróżować po całej Polsce i szukać jakichś tam Kowalskich, podległych jakimś tam resortom.

Z pisma skierowanego do Biura Interwencyjnego NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze przez Komisję Zakładową przy Instytucie Polityki Naukowej, Postępu Technicznego i Szkolnictwa Wyższego w Warszawie:

„Społeczeństwo jest przekonywane, że obecnie cała produkcja bieżąca przemysłu samochodowego jest kierowana na rynek i sprzedawana w systemie przedpłat, według zasad powszechnych i jawnych; wyjątek stanowią mają przydziały samochodów tylko dla tych osób, dla których pojazd jest środkiem pracy (taksówkarze, lekarze wiejscy itp.). Tymczasem okazuje się, że nadal stosuje się przydziały dla pracowników urzędów centralnych i im podległych, przy czym podstawowym kryterium jest uprawnienie do korzystania z ryczałtów i limitów finansowych, które w naszym resorcie przysługują dyrektorom i ich zastępcom”.

Z Uchwały nr 49:

„Minister Przemysłu Maszynowego w porozumieniu z Ministrem Handlu Wewnętrznego i Usług wydzieliła z przeznaczonych do sprzedaży dla ludności samochodów osobowych określone ilości samochodów [...] dla pracowników uprawnionych do używania własnego samochodu do celów służbowych”.

Zbyt to ogólne, nieprecyzyjne. Postanawiam wyjaśnić wątpliwości w Ministerstwie Komunikacji, które podobno dzieli samochody.

Kiedy tam się zjawiam i mówię, o

co chodzi, informują mnie, że ministra nie ma i kierują do wicedyrektora Departamentu Komunikacji, Michała Chlewickiego.

— Stosownie do uchwały, minister komunikacji otrzymał 4 tys. samochodów (w tym łady, polonezy, fiaty 125p, fiaty 126p oraz syreny) do podziału, z przeznaczeniem dla osób zatrudnionych w gospodarce społecznej i innych organizacjach.

— To znaczy jakich organizacjach? — Na przykład w Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej — rzuca z wynownym uśmiechem dyrektor.

— Czy mógłbym zapytać, co kryje się za tym uśmiechem i dlaczego właśnie pada przykład RSW?

— Odpowiedź jest prosta: ponieważ instytucja ta należy do bardzo agresywnych i... po prostu jej nie lubię... Asygnata przysługuje osobom upoważnionym, które nie nabyły w ciągu ostatnich czterech lat samochodu. Nie przysługuje tym, którzy są upoważnieni do osobistego dysponowania samochodem służbowym, na przykład dyrektorem. Przydział ma mieć charakter jawny, skonsultowany z odpowiednimi czynnikami społeczno-politycznymi.

Z protestu NSZZ „Solidarność” przy Ministerstwie Kultury i Sztuki:

„Protestujemy przeciwko przyznaniu specjalnych przydziałów, tzw. asygnat, na samochody dla pracowników urzędów centralnych i ministerstw”.

Fragmencie pisma skierowanego przez NSZZ „Solidarność” przy Ministerstwie Kultury i Sztuki do ministra J. Tejchmy:

„Zmiana nazewnictwa talonu na asygnaty nie usprawiedliwia powrotu do starych form uprzywilejowania pewnych grup społecznych, które to praktyki zostały zanegowane przez społeczeństwo. Wyjaśnienia przekazane przez Ministerstwo Komunikacji, a opublikowane w prasie codziennej, nie zmieniają także meritum sprawy. Zawarta w piśmie Ministerstwa Komunikacji argumentacja, że samochody służą osobom, których rodzaj pracy szczególnie uzasadnia prawo do ich nabywania poza normalną kolejnością, w przypadku urzędów centralnych — a na pewno w przypadku MKiS — jest czystą fikcją, gdyż de facto samochody te służą głównie do dojazdów do

pracy (podobnie jak ogółowi posiadaczy samochodów) oraz prywatnym potrzebom. Natomiast wyjazdy w teren w delegację realizowane są najczęściej państwowymi środkami lokomocji”.

Z informacji nadsyłanych stale z różnych stron Polski do siedziby NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze wynika niezbicie, że „zlikwidowane” porozumieniami talony służą nadal jako narzędzie pozyskiwania „grzecznych”. Wiadomo, że często w ogóle nie są przestrzegane nawet iluzoryczne kryteria przydziału, najpierw skromnie ukrywane, później gładko podane w „Życiu Warszawy” przez Departament Komunikacji Drogowej Ministerstwa Komunikacji red. Piątkowskiemu. Dziennik ten poinformował, że w 1981 roku na asygnaty przeznaczono 4070 samochodów. Według informacji z innego źródła w Ministerstwie Komunikacji, liczba ta ma przekroczyć 5 tys. sztuk. To za dużo, zwłaszcza dla naiwnych, którzy zapłacili w loteryjkach i teraz czekają pokornie na samochody (dla orientacji: w 1980 r. na 4050 1/2 sprzedano na talony oczywiście za złotówki). Nie łagodzi sprawy nawet zwiększona w tym roku liczba zakupionych 1/2 (12 800 sztuk). W sytuacji ogromnego, wciąż rosnącego „głodu samochodowego” obecny „system” pod żadnym pozorem nie może być tolerowany.

Trzeba przede wszystkim sprecyzować znacznie dokładniej zasady przydziału samochodów — komu dawać i na jakich warunkach. (Uchwała nr 49 rozmyśla tylko całą sprawę i stwarza niebezpieczne furtki), należy kontrolować przestrzeganie tych reguł, zabezpieczając przydzielone auta przed natychmiastowym sprzedaniem na giełdzie (w Lublinie żądano w październiku 930 tys. zł za nową ładę).

Inaczej społeczeństwo będzie rozumować jak Józef Molenda z Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” przy lubelskim „Polmożbycie”:

— W dalszym ciągu jesteśmy okamywani. Gdyby tego nie było, moglibyśmy spokojnie żyć, łatwiej się dogadywać. Nie tylko dotyczy to talonów...

Jak podają „Kulisy” rocznie w Polsce (łącznie z importem) pojawia się na rynku 250 tys. nowych samochodów. Red.

Ryszard Kornacki

ZŁOTY KAMIEŃ PRAWDY

w bezgranicznej samotności
oko
wtapiamy korzenie
wybrańcy gatunków
łowców i tropionych
pod gwiazdę księżycą
śląc
ogniste wici
czynią swe tłumacząc
odbiciem lustrzanym
rodzonych geniuszy
mitem lub legendą
echem trwałej pychy
więc
sąd ostateczny
nie ukoń wina
aniolów struganych
na potrzebę chwili
i nie trafi domu
krótkowzroczny, ślepiec
chyba że na Prawdę
najcenniejszy kamień
upadnie skrwawiony

WAGA

zważono grzech pierworodny
zważono postępek judasza
zważono abstrakcyjny atom
zważono księżyc i ziemię
zważono życiodajne powietrze

mierzy się tchórzostwo i bohaterstwo
mierzy się godność i zdradę
mierzy się człowieka
wzdłuż i wszerz

nikt nie próbuje ważyć
sumienia

powołano osiem makroregionów, do złączenia pokrywających się terytorialnie z zespołami dawnych województw. Utworzono je dlatego, że planowanie centralne, składające się z 49 planów społeczno-gospodarczych, było niemożliwe, nawet w obowiązujących nadal warunkach „załatwiania” sobie co lepszych kąsków inwestycyjnych. W warunkach załatwiania, a nie planowania.

Nic dziwnego, że planowanie makroregionalne, angażujące w tych ośmiu jednostkach setki fachowych głów, stało się planowaniem „sobie a mużom”. Owe ustalenia i wizje, mające obowiązywać Komisję Planowania, były nagnimnie ignorowane. Traktowano je jako słupy orientacyjne czy ostrzegawcze, między którymi wszystko jest dowolne.

Teraz jednak w całej ostrości zarysowały się różnice rozwojowe między regionami i województwami. Ujawnił się krach lansowanej przez dziesiątki lat idei rozwoju przemysłowego jako tożsamego z rozwojem społeczno-gospodarczym regionów i województw. Ideę tę lansowano z przyzwoleniem (nie tylko milczącym) większości socjologów i ekonomistów, w całkowitej obojętności na doświadczenia socjologii światowej. W tym bowiem czasie zdołała powstać i rozwinąć się odrębna jej dziedzina — socjologia regionalna, poczęta z negatywnych doświadczeń wielu państw zachodnich i Trzeciego Świata, doświadczeń dowodzących generalnie, że rozwoju regionów i polityki regionalnej nie można opierać wyłącznie na przesłankach ekonomicznych, industrializacyjno-urbanizacyjnych, że liczba kominów fabrycznych w miejscowości czy regionie wcale nie rozstrzyga o stanie szczęśliwości ich społeczeństw. A to m. in. dlatego, że industrializacja postępuje zawsze szybciej niż poprawa warunków życia zbiorowości. Aby różnic tych, przeważnie zastanych, przynajmniej nie pogłębić, potrzebna jest świadoma polityka społeczna państwa, uwzględniająca trzy elementarne warunki zwanego regionalnego: badanie i respektowanie regionalnych rozkładów dochodów ludności; badanie regionalnej struktury konsumpcji; badanie zasady tzw. równości szans społecznych.

Badania takie w niektórych pracowniach naukowych prowadzono (m. in. w Poznaniu), lecz nie miały one żadnego praktycznego znaczenia. Obowiązywał osławiony dziś woluntaryzm i rozstrzygnięcia przetargowe, a więc całkowicie sprzeczne z ideą planowania, w tym też planowania regionalnego. Spektakularny przykład lokalizacji Huty „Katowice” — z dala od źródeł rudy i wody, w przeciętnym do granic przemysłowym regionie — można sobie dziś darować w porównaniu z „nieporozumną” lokalizacją supernowoczesnej w swoim czasie cukrowni w Łapach w województwie białostockim — na terenie prawie zupełnie pozbawionym uprawy buraka cukrowego! Czy można więc było snuć spekulacje na temat zmarnowanych

szans planowania regionalnego czy też socjologii regionalnej — w epoce, gdy niektóre decyzje lokalizacyjne trąciły wręcz dywersją gospodarczą?

Musiąły zatem narastać dysproporcje międzyregionalne, a nobilitacja starych siedzib powiatowych do rangi województw owe różnice jeszcze pogłębiła. Co np. zyskało w ciągu siedmiu lat nowe województwo białkopodlaskie (mylone często z bielskim)? Chyba tylko to, że jego dwa miasta, Parczew i Radzyń — dyskryminowane (rzekomo) w przydziałach konsumpcyjnych przez Białą Podlaskę — ślą petycje do Warszawy i Lublina z prośbą o przyłączenie do województwa lubelskiego. Co zyskała Łódź okrojona — oprócz zwiększonych trudności zaopatrzeniowych — gdy jako „wolne miasto” została otoczona zbyt wąskim wiankiem gleb administracyjnie mu podległych?

Jakie zatem powinno być, wedle wyznań fachowców, planowanie i funkcjonowanie przestrzenne organizmów społeczno-gospodarczych w warunkach nadchodzącej reformy gospodarczej? Widzą oni wielokrotną potrzebę respektowania centralnie planowania regionalnego, potrzebę kontynuowania swoich prac studialno-analitycznych dla planowania społeczno-gospodarczego, zwłaszcza zaś w kontekście przestrzennym. Trzeba zacząć od przestrzegania zasady zgodności rozwoju województw i makroregionów — skoro już istnieją — z ogólną strategią rozwoju kraju. Widzą potrzebę stworzenia płaszczyzny rozwiązywania zagadnień międzywojewódzkich (np. problemów Lubelskiego Zagłębia Węglowego), koordynacji działań między jednostkami różnych branż.

W nadeiagającej perspektywie trzech „S”, zwłaszcza samofinansowania, fachowcy zwracają uwagę na ważkość kryterium przestrzennego. Każdy już istniejący czy przyszły zakład będzie musiał ponosić konsekwencje błędnej lokalizacji — w postaci kosztów transportu surowca do zakładu i produktu finalnego do odbiorców, wreszcie kosztów powiązań kooperacyjnych. Każdy także musi płacić za korzystanie z zasobów danego terenu (ziemia, woda) oraz za degradację środowiska powodowaną przez zanieczyszczanie powietrza i wód, za wysypiska itd. Za ziemię zabraną pod fabrykę inwestor powinien płacić permanentnie, corocznym kosztem pól, a nie jednorazowo, przy akcie wywłaszczenia! Powinien być odpowiedzialny za społeczne skutki koncentracji ludzi i produkcji, za przeciążanie szkół, przedszkoli, sieci handlowo-usługowej, ogrzewanie itp. Dotychczas partycypowanie zakładów w tych obciążeniach traktowane jest raczej jako forma społecznej filantropii, a nie obowiązek.

Trudno będzie przebić się tym, jak na razie, postulatami. Do dziś przecież obowiązuje u nas zasada wzrostu gospodarczego, przekonanie, że komin fabryczny dany jakimś Fajslawicom czyni z tej

miejscowości ową miścinę szczęśliwości. Mądre i społecznie sprawiedliwe zacieranie różnic regionalnych wymaga zerwania nie tylko z woluntaryzmem, partykularyzmem, z wydzieleniem sobie dotacji i inwestycji. Będzie potrzebowało w wielu przypadkach zdecydowanego interwencjonizmu — dotacji państwa dla najsłabszych i najbardziej zaniedbanych.

Potrzebna będzie także konsultacja społeczna co do ważniejszych zamierzeń w regionie, województwie. Potrzebna będzie kooperacja tych jednostek. Potrzebne będzie bilansowanie mocy produkcyjnych, oraz, na najbliższą przyszłość, niwelowanie skutków niedawnej gigantomanii.

Nieodzowna będzie także rozumna równowaga w rozwoju różnych dziedzin gospodarki. Oto w latach 1971—1979 dynamika rozwoju przemysłu rolno-spożywczego w województwach: zamojskim, białkopodlaskim czy chełmskim była niższa niż przemysłu elektromaszynowego, gdy powinno być właśnie odwrotnie, bo do tego skłaniają warunki glebowe wspomnianego obszaru. Ten sam przemysł rolno-spożywczy w skali makroregionu środkowo-wschodniego (lubelskiego) zmalał relatywnie w owym czasie z 38,6 proc. do 31,8 proc., gdy znowu powinno być właśnie odwrotnie w tym typowym rolniczym regionie.

Niewiele jest w naszym życiu społeczno-gospodarczym słów zdewaluowanych w takim stopniu, jak słowo plan. W swoim dziennikarskim archiwum przechowuję całą harmonię wspaniałych, dziś już kuriozalnych planów wojewódzkich, resortowych, branżowych, wybiegających beztroško w lata 1985, 1990! Zaden z nich nie został i — wiadomo już ponad wszelkie wątpliwość, że nie zostanie zrealizowany! Słęgijmy po pierwszy z brzegu: „Kierunki rozwoju spółdzielni kółek rolniczych w województwie lubelskim do 1980 roku”. Opracowane w 1976 roku, już żałośnie nieaktualne. Albo „Program rozwoju produkcji żywności w regionie lubelskim do 1990 roku”. Opracowane z 1974 roku, też tragicznie nieaktualne! Podobnie z „Programem rozwoju społeczno-gospodarczego wzorcowej gminy Józefów w latach 1973—1990”. Bo jeśli snuły beztroško wizje głowy wojewódzkie, to gminne też nie chciały być gorsze!

Czy uczestniczący w tej „tragedii pomyłek” planiści wszystkich szczebli mają teraz posypać głowy popiołem, czy też wziąć się do pracy nad rehabilitacją sponiewieranego słowa plan? Dowiemy się. Oby nie za 10 lat, przy następnej „tragedii pomyłek”.

Henryk Pająk

Widowisko „Maskarada”

Maria Bechcyc-Rudnicka

NA LUBELSKĄ scenę dramatyczną dramaturgia Jarosława Iwaszkiewicza weszła kilka lat po wojnie w aurze, rzecz można wręcz odświętnej, premiera bowiem „Lato w Nohant” 6 października 1949 r. otwierała pierwszy sezon w teatrze, który odtąd właśnie przybiera miano Państwowego Teatru im. J. Osterwy. A warto dziś przypomnieć, jak dalece korzystny był dla tej sceny ów akt upaństwowienia, gwarantujący jej pewniejszą bazę finansową w momencie, kiedy nawet k-o. zakładów pracy kupowali chętniej przedstawienia operetki, aniżeli sztuk zalecanych przez Komisję Repertuarową.

Tak więc powtarzam — atmosfera premiery z 6 października 1949 r. była szczególnie radosna i podniosła. Przyjechał Jarosław Iwaszkiewicz z małżonką. Chwalili przedstawienie. Nie musieli zadawać sobie towarzyskiego przymusu — Zofia Modrzewska wyreżyserowała „Lato w Nohant” bez zapędów „krecjonistycznych”. Moda na nie miała przyjść znacznie później. Zresztą Modrzewska zawsze kładła główny nacisk na pracę z aktorami, toteż starsi lublinianie pamiętają szereg świetnie odtworzonych postaci: George Sand w wykonaniu Eleonory Frenkiel-Ossowskiej, piękną, niesforną Solange Marii Góreckiej, Wodziańskiego Romana Cirina, Rozjerkę Haliny Buyno, Augustynę Zofii Stefańskiej, Clésingera Leona Gołębiowskiego, Fernanda Tadeusza Kosudarskiego i przede wszystkim CHOPINA — człowieka, który wychodzi z dyskretnego odbrązowienia zwycięsko, opromieniony w finale blaskiem swego geniuszu. Grał go młody bardzo zdolny aktor Stanisław Olejarnik.

Później, w r. 1961, wystawiono znów „Lato w Nohant” i więcej już po dramaturgię jego autora Teatr Osterwy nie sięgał. Dobrze się tedy stało, że Lublin może obecnie oglądać na swej scenie dramatycznej „Maskaradę”, która obok „Lata w Nohant” wysuwa się na czoło sztuk Jarosława Iwaszkiewicza — stało się tym lepiej, że w ten sposób złożono jakby hołd pamięci Wielkiego Pisarza, zmarłego tak stosunkowo niedawno.

Jan Kłossowicz, określając stylistykę „Kochanków z Werony”, „Lata w Nohant” i „Maskarady” (p. program naszego teatru) w nawiązaniu do polemiki R. Zengla z W. Maciągiem („Dialog” nr 5 r. 1959) mówi: *Od strony formalnej biorąc, te trzy utwory są w swoim kształcie zewnętrznym właściwie stylizacjami czy wręcz pastiszami dramaturgii romantycznej. Pierwszy z nich to romantyczna lub ściślej — neoromantyczna trawestacja tematu znanego najbardziej dzięki Szekspirowi, druga przywodzi na myśl komedie Musseta, trzecia nawiązuje wyraźnie (nie tylko wziętym od Lermontowa tytułem) do rosyjskiego dramatu romantycznego. Trzeba też od razu powiedzieć, że to stylizacje bardzo piękne, widać w nich całą tak charakterystyczną dla Iwaszkiewicza nie tylko znajomość literatury różnych epok, ale przede wszystkim wyczuwanie na ich atmosferę, sposób obrazowania, koloryt. A przy tym szczególną literacką pomysłowość polegającą na tym, żeby o Chopinie mówić językiem Musseta, a o Puszkynie — Lomonosowa i Gribojedowa.*

Zgoda, o ile chodzi o „Kochanków z Werony”. Jest to pastiche i nawet perwersyjnie pomysłowy, bo poetyzujący miast miłości Romea i Julii — nieprawdę. Inna rzecz „Lato w Nohant” i „Maskarada”, tu już kwestia zaczyna być bardzo kontrowersyjna. Mnie np. wyżej sugerowane rodowody wydają się mocno podejrane. Sama zbieżność tytułu i miejsca akcji jeszcze o rodowodzie stylu nie świadczy. Osobiście, w lekturze odbieram „Lato w Nohant” i „Maskaradę” Iwaszkiewicza jako dramaty realistyczne, w których autor ukazał rzeczywisty obraz otoczenia obydwu Geniuszy, usuwając z niego historyczną i literacką patynę. Przecie w obydwu tych sztukach są passusy przypominające, dalszob, raczej Zapolską niż romantyków! I to bynajmniej nie przynosi ujmę Iwaszkiewiczowi, skoro na tle całej tej „życiowej prozy” zarówno geniusz Chopina jak Puszkina jaśnieje szczególnie blaskiem, choćby oni z kolei byli tu i ówdzie dyskretnie odbrązowieni.

Tyle o kształcie pisemnym „Maskarady” Jarosława Iwaszkiewicza. Natomiast prawdą jest, że definicja, którą proponuje J. Kłossowicz, przylega gdzieś do kształtu inscenizacji Ignacego Gogolewskiego. Powiedziałam: gdzieś, ponieważ inscenizacja owa jest niejednorodna; do podstawowej jej „materii” — całkiem realistycznej — wprowadził Gogolewski elementy wizyjne. Już od początku spektaklu towarzyszą pewnym jego momentom niczym leitmotiv ewolucji kilku szarych postaci-zwidów, w pelerynach podobnych do skrzydeł nietoperza; wizyjny charakter ma wprowadzona przez inscenizatora niema scena pojedynku, a po pantomimicznym finale dramatu Iwaszkiewicza następuje epilog — wizja z chóralnie śpiewanym wierszem „W głębinie sycberyjskich rud”.

Wymienione zabiegi wizualne, łącznie z interpolacją poezji Puszkina, przemieniają realistyczną,

kameralną w gruncie rzeczy sztukę w popularne widowisko poetyckie, nie umniejszając wszakże jej ładunku intelektualnego. Taka koncepcja inscenizacyjna może trafić do przekonania niejednemu wybredniejszemu widzowi, a zarazem odpowiada gustom, że tak powiem — „masowym”, czego niewątpliwym dowodem totalnie wyprzedana widownia na kilka tygodni naprzód.

Przyznając tedy celowość koncepcji inscenizacyjnej, postaramy się ocenić obiektywnie jej realizację. Przypomnę więc najpierw, iż omawiana inscenizacja została przeniesiona na scenę Teatru im. J. Osterwy ze sceny warszawskiej. Witold Filler, w swej książeczce biograficznej „Ignacy Gogolewski”, mówi o tamtejszej premierze „Maskarady”, z r. 1977, że była to premiera Gogolewskiego, w której talent aktora zespolił się z konsekwencją poczynań reżysera, by przynieść dzie-



Jarosław Iwaszkiewicz — „Maskarada”. Ignacy Gogolewski (Puszkina) i Bruno O'Ya (Car Mikołaj II).

Fot. Z. Zugał

ło uznane powszechnie za najwybitniejsze osiągnięcie Teatru Polskiego w ostatnich latach.

Widziałam ów spektakl — istotnie był fascynujący. Jest jednak rzeczą zrozumią, że jego „transplantacja” na scenę teatru bądź co bądź „terenowego” nie mogła odbyć się bez strat artystycznych. Trochę ich poniosły choćby dekoracje, które wypadło „przykrawać”, ale najwięcej dały się we znaki — nie wolno tego przemilczeć — ograniczone możliwości właściwego obsadzenia niektórych ról.

Nieskazitelnie artystyczna pozostała jedynie postać Puszkina, rolę tę i w Lublinie gra sam Ignacy Gogolewski tak, że odczytujemy nieomylnie „Maskaradę” jako obraz męczeńskiej kondycji poety w osaczającym go małostkowym i bezwzględnie otoczeniu. Wielka skala środków mimicznych i intonacji pozwala Gogolewskiemu być Puszkinem już to wyrozumiałym czy frywolnym, już to wyobcowanym z otoczenia — w akcie pierwszym, a zrozpaczone, dumnym i gniewnym w bezpośrednim zetknięciu się z tyranią i nikczemnością! Zresztą co tu dużo mówić — postać Puszkina kreowana przez Ignacego Gogolewskiego jest bez wątpienia największą atrakcją spektaklu.

Inaczej rzecz się ma z postacią cara — antagonisty poety. Rolę Mikołaja grał w Teatrze Polskim Krzysztof Chamiec, z brutalną witalnością — jak ktoś się wyraził, ale i z należytą dystynkcją — dodam od siebie. Chamiec miał grać gościnnie też w Lublinie, lecz jakieś niefortunne „terminy” sprawiły, że zastąpił go na kilka tygodni sprawozdany z Wrocławia Bruno O'Ya. Sprawa wysoce drażliwa, ale musi przecie ktoś powiedzieć otwarcie, że wyrządzono popularnemu aktorowi filmowemu wręcz krzywdę, obsadzając go w roli z obfitym tekstem, który on *volens nolens* mówił z cudzoziemskim akcentem. W ogóle, moim zdaniem, rola ta nie leży w dyspozycjach sympatycznego Estończyka. Ustawiono ją przeto, by ratować sytuację, na „komikowanie” i jakoś ten car wypadł zbyt dobroduszny, co chyba nie było zamiarem ani Jarosława Iwaszkiewicza, ani reżysera.

A inne postacie?

No cóż, w sumie pod względem aktorskim spektakl na pewno nie budzi większych zastrzeżeń poza wyżej zgłoszonym. Może wolalabym widzieć mniej jednak „młodocianego” d'Anthésa i również bardziej dojrzałego Lanskoja niż ci, których grają respective — Jerzy Kamiński i Marek Prażanowski, może powinien być odrobinę mniej „dygnitar-

ski” Kamerdyner Puszkina (w lubelskim spektaklu gra go zasłużony aktor Ryszard Kolaszyński), może odnosząca niejedną sukces w rolach charakterystycznych Maria Kaczkowska powinna cieplej grać Nianię, tę Nianię, o której Puszkina napisał tak serdeczny wiersz... Ale za to grzechem byłoby nie odnotować paru z talentem zagranych ról epizodycznych jak np. Doktora Arendta (Maciej Polascki), czy Lokaja na balu (Zbigniew Wróbel).

Co się tyczy ról pierwszoplanowych, to wśród pań prym dierży Barbara Wronowska, odtwarzająca z autentyczną finezją i elegancją rolę Idalii, damy dworu, przebiegłej intrygantki.

Nathalie Anny Świłlickiej, ośniewająca nieprzeciętną urodą, zbliża się do znanej z literatury postaci najbardziej w ostatnich akcie, gdzie jej scena wybuchu nasuwa refleksje o niełatwym losie żon wielkich ludzi.

Nina Skołuba, której przypadła w udziale mniej efektowna rola ofiarnej Alexandrine, ma swój najszczęśliwszy moment w scenie z Puszkinem na balu maskowym. Tam też rozgrywa się popisowa scena głupiołkiej Catherine, którą gra z zabawną napuszoną Grażyna Kłodnicka (w przeciwieństwie do owej udatnej sceny, nader przewzięte beki „starej panny” w akcie I nikogo nie śmieszają).

Spokojnie i nobliwie gra Piotr Wysocki niewdzięczną rolę Pułkownika Danzasa, właściwie klasycznego szlachetnego powiernika, intrygującą postacią (jak i należało) jest Baron Heeckeren Jerzego Mędrkiewicza; ożywia skutecznie nieco przeciągający się akt I udatne wejście spryciarza Wydawcy, którego odtwarza dowcipnie Krystyn Wójcik; wreszcie Żukowski... no nie, Żukowskiego, wszak wybitnego poe, upodobnił Ludwik Paczyński do profesora z Heidelbergu.

Scenografia Mariana Kołodzieja oczywiście dodaje dużo splendoru przedstawieniu. Zauważmy też, że jego dekoracje są w pełnej zgodzie z koncepcją inscenizacyjną I. Gogolewskiego, uciekającą w pewnej mierze od realizmu (kula ziemiska z usadowionym na niej orlem — nad pokojem Puszkina, czy wylom w ścianie, przez który widać ośnieżony ogród, albo też w akcie II satyryczne ujęcie wybudowanego rokoka wystroju sali audiencyjnej w Pałacu Zimowym etc., etc.).

Niemalby walor spektaklu stanowi również muzyka Waldemara Kazaneckiego, także „kompromisowa” (która godzi nowoczesne akcenty związane „uwertury” i równie związane tematu — ze starożytną elegijnością walców, przywodzącego na myśl muzykę Chaczaturiana do „Maskarady” Lermontowa). Tu warto wspomnieć o pięknej recytacji Henryka Sobiecharta i przyjemnie odśpiewanej przez Jerzego Turowicza pieśni „O, jeśli prawda jest, że noc...” Do melodii w stylu Michała Glinki.

Ewolucje pantomimiczne opracowane przez Jana Uryga wypadłyby zwiewne w filmie, ale i na scenie spełniają niezgorzej swe zadanie.

POSTSCRIPTUM. 20 listopada wystąpił wreszcie u nas Krzysztof Chamiec. Teraz maksima absolutnych monarchów l'Etat c'est moi, podłożył ich bezgranicznej samowoli, stała się punktem wyjścia każdego gestu niebezpiecznie taskawego cara — „batiuszki”. Wielki dialog Puszkina i Mikołaja zabrzmiał łącznie koncertowo. Wystąpiła też gościnnie Renata Kossobudzka. Jej Idalia snuje intrygę ze szczególnie subtelną przebiegłością.

„W walce z niedolą wytrzymał długo”

STOSUNKOWO niedawno, na początku tego roku, Muzeum Okręgowe w Bydgoszczy urządziło w warszawskiej „Zachęcie” dużą wystawę własnych zbiorów malarstwa polskiego z lat powojennych, która okazała się rewelacją nawet dla osób bliżej kontaktujących się ze sztuką. Bydgoszcz bowiem nie tylko zgromadziła wiele cennych płócien (około 1000), ale i metodycznie, z zachowaniem odpowiednich proporcji, ułożyła ten materiał w sugestywny i wiarygodny obraz wartości i dialektycznych przeobrażeń naszego malarstwa.

Oglądając wystawę, z satysfakcją zauważyłem kilka prac Kononowicza, znajdujących się w sali kolorystów, obok pejzaży i martwych natur Cybisa, Eibischa, Nachta-Samborskiego, Taranczewskiego, Rzepińskiego, a więc artystów szeroko znanych, cenionych, eksponowanych w publikacjach z zakresu sztuki. W tym znakomitym sąsiedztwie malarstwo „Bosego” prezentowało się bardzo dobrze, nie traciło indywidualności, skutecznie konkurując z niejednym obrazem wspomnianych autorów.

Odnotowawszy to ze zrozumiałą dumą, zastano-

wojnie Kononowicz mieszkał kolejno w Lublinie, Szczecinie, Nałęczowie, Kazimierzu Dolnym i znów w Lublinie, a więc w ośrodkach kresowych, wędrujących w cieniu wspomnianych centrów, w których strukturze nie starczało miejsca dla artysty „z głębokiego terenu” choć wiele jego obrazów nie ustępowało malarstwu czołowych indywidualności z obszaru szeroko rozumianego koloryzmu. Jedną ekspozycją w stołecznej „Zachęcie”, urządzoną zresztą równocześnie z trzema pokazami prac innych artystów, i sporadyczną obecnością na poważniejszych wystawach ogólnopolskich w Warszawie Kononowicz nie mógł trafić na stałą, choć nieformalną listę promiennych osobistości sztuki krajowej. Z „wodopojem” korzystali ci, którzy byli w pobliżu, trzymali rękę na pulsie spraw organizacyjno-artystycznych.

„Bosy” przekraczał ramy konwencji kolorystycznej, uprawiał malarstwo osobne, o indywidualnym wyrazie, ale trudno powiedzieć, że całkowicie sprzeniwiwił się idel kapistów i pokrewnych grupowań międzywojennych, stawiając zarazem jakiś wyraźny nowy problem o szerszej perspekty-

wobeli wszechstronnie zróżnicowany uważał trzeba za wstęp do twórczości dojrzałego artysty”.

Rzeczywiście, to był wstęp, wielce obiecujący zapowiedź, która rychło mogła doczekać się integralnego spełnienia, wprowadzając Kononowicza do elity polskiego koloryzmu. Tymczasem wybuchła wojna, która zahamowała rozwój artysty, zmuszając go do różnych robót dla chleba i fizycznego przetrwania.

Po wyzwoleniu Kononowicz poszukiwał się szybko, seriami obrazów szczecińskich dowodząc, że wchodził o to w okres twórczości dojrzałej, autonomicznej w obrębie koloryzmu, który znów szeroko rozpręstrzenił się w krajowych środowiskach plastycznych mimo ataków ze strony awangardy i młodych malarzy w rodzaju Andrzeja Wróblewskiego. Bądźmy przecież sprawiedliwi: ta awersja była usprawiedliwiona, postimpresjonistycznej różnego autoramentu tak bowiem rozpręstrzenił się w Polsce, że cały ten kierunek przekształcił się ostatecznie w techniczną manierę bez ideowego pokrycia i na dźwięk słowa „Kolorysta” co wrażliwi ludzie przyzymkali oczy, darując sobie baczniejszą obserwację konkretnych płócien, w których mogliby ewentualnie znaleźć indywidualne, nietuzinkowe wartości malar-
skie.

Historyczny pech nadal prześladował „Kanona” w 1949 roku nakładając go do miarzału w realizmem socjalistycznym, a więc z czymś, co było głęboko sprzeczne z naturą artystyczną autora rozświetlonych pejzaży. Skończyło się na zapowiedziach, ale przed definitywnym rozjęciem się stron Kononowicz popelniał pewną liczbę prac o stosownej tematyce i formie nieco zbliżonej do oczekiwania ideologów, zaniedbując tym samym główny cel swojego działania. Potem nie zwracał już jednak uwagi na dyrektywy i malował, jak chciał, udowadniając zarazem, że koloryzm w jego ujęciu to nie doktryna czy katechizm, lecz zaletywny punkt wyjścia do swobodnej kreacji piktoralnej. Niezależność w twórczości osiągnął Kononowicz długo przed gwałtownym ujawnieniem się tendencji nowoczesnych w sztuce polskiej, opartych m.in. na prawie każdej artyście do wolnej wypowiedzi, które podkreślał przy każdej okazji.

Jeszcze przed rokiem 1939 recenzenci wskazywali na „wybuchowy temperament” artysty. Określenie było banalne, ale trafnie charakteryzowało osobowość Kononowicza i naturę niektórych jego płócien. Z biegiem lat tendencja do gwałtownego wyrażania emocji zaznaczała się coraz wyraźniej w obrazach „Bosego”, aby w Kazimierzu nad Wisłą (od 1954 r.) zdominował twórczość autora „Pejzaży z ogrodem”. Wyciskając farbę na płótna wprost z tuby, zamieniając ją w relify żłobione pędzlem, sugerując kształty grubą kreską lub rwanym konturem, pokrywając powierzchnie smugami rozrzuconych kolorów — otrzymywał Kononowicz kompozycje pełne dramatyczne w wyrazie i nerwowe, że trudno je umieścić w hedonistycznych ramach postimpresjonizmu. Od 1934 r. malarstwo „Bosego” w ogóle użyczyło rygorystycznym klasyfikacjom w obrębie sztuki polskiej, stanowi rzeczywistość odrębną i samodzielną, choć na pewno zróżnicowaną wewnątrz, ale wolną od realizacji o wątpliwej jakości.

Po roku 1956 okazało się jednak, że wspomniane prawo do wolnej wypowiedzi przysługuje w zasadzie „nowoczesnym”, a tacy malarze jak Kononowicz należą do przeszłości, choć ich płótna mierzą się zalecają się „świeżością”.

W najważniejszych punktach wytrwałej drogi „Bosego” do samodzielności w sztuce pojawiła się nagle historia, by brutalnie zakłócić rozwój jego twórczości. Te przypadki opóźniły dojrzewanie artysty i przyczyniły się m.in. do tego, że nie należał „do najbardziej znanych, najbardziej windowanych na piedestał”. I na tym polega pech Zenona Kononowicza, wpisany bez reszty — co trzeba pamiętać — w dramatyczne losy polskiej kultury artystycznej od końca lat trzydziestych do połowy piętej dekady naszego stulecia, ale i później towarzyszący artyście.

Bieg czasu ośmiesza stare fobie i taktyczne uprzedzenia, likwiduje podziały ideowe z przejęciem wykreślone przez ludzi, oczyszczając pole do spokojniejszej, obiektywnej oceny minionych zjawisk, nieczujnych na środowiskowe układy i presję topograficznych hierarchii. W roku 1981, dziesięć lat po śmierci Kononowicza, trzeba uznać za oczywiste, że na warszawskiej wystawie bydgoskiego muzeum artysta znalazł dobre miejsce obok Cybisa, Eibischa, Nachta-Samborskiego, Taranczewskiego czy Rzepińskiego. A jeśli ktoś ma jeszcze wątpliwości, niech pójdzie na lubelski Zamek, gdzie czynna jest właśnie rocznicowa wystawa malarza i grafika zdem z Wileńszczyzny.

Los „Bosego”

Ireneusz J. Kamiński

wilem się zaraz potem, dlaczego zainteresowanie twórczością Kononowicza ze strony nauki i publicystyki jest mizerne w kraju, a tzw. szeroka publiczność (poza lubelską) ma o niej wyobrażenie mętne, albo żadne? Nawet ludzie o pewnych aspiracjach kulturalnych, nie zatartych jeszcze do cna przez rutynę codziennej egzystencji, przebąkują czasami o „lokalnym wymiarze” malarstwa autora „Kwitających jabłoni”, brutalnie i bezpodstawnie ignorując stan faktyczny. (Inna sprawa, że patriotę regionalni też gwałcą rzeczywistość — awansując „Bosego” do rangi Pana Boga sztuki polskiej, co śmieszne, zaściankowe, a więc niewarte uwagi).

Spróbujmy zatem odpowiedzieć na powyższe pytanie, za punkt wyjścia przyjmując pewną opinię o Kononowiczu, wydrukowaną 21 lat temu w nr 47 „Przeglądu Kulturalnego” z powodu wystawy artysty w „Zachęcie”, otwartej w październiku 1960 roku.

Kononowicz — zdaniem autora tego tekstu podpisanego literą „O” (Oseka?) — jest „malarzem od wielu już lat ukształtowanym, konsekwentnym, zastanawiającym ogromną kulturą kolorystyczną. Nie mamy tu do czynienia z jakąś szczególnie oryginalną, odcinającą się od innych wizją. Portrety, pejzaże (z Kazimierza i okolic Lublina), martwe natury. Czasami tylko — w portretach — uderzy nas jakaś większa niż na ogół u kapistów siła wyrazu, ekspresja przywodząca na myśl Soutine’a. Jest to w każdym razie — w ramach kapizmu — malarstwo sporej klasy, rzetelne i spontaniczne z zachowaniem, malarstwo, które zachowało — przy wszystkich postimpresjonistycznych ograniczeniach — świeżość. Być może dlatego, że artysta ten nie należy do najbardziej znanych, najbardziej windowanych na piedestał”.

Siła wyrazu, rzetelność, spontaniczność, świeżość — tymi słowami już wcześniej określano twórczość Kononowicza, wskazując jednocześnie na jej usytuowanie w ramach postimpresjonizmu. W opinii recenzenta „Przeglądu Kulturalnego” na uwagę zasługuje przede wszystkim zdanie ostatnie, ponieważ rzeka ono pewne światło na mechanizm środowiskowej i społecznej pozycji artysty, prowokując właśnie pytanie: dlaczego Kononowicz „nie należy do najbardziej znanych, najbardziej windowanych na piedestał”?

Odpowiedź jest żenująco prosta: bo od 1936 roku ciągle przebywał i pracował w ośrodkach peryferyjnych wobec centrów polskiej kultury artystycznej, wyposażonych w instytucje bezpośrednio wspierające twórczość plastyczną i lansujące malarzy, rzeźbiarzy czy grafików. Środki masowego przekazu o zasięgu krajowym i dużym autorytecie, poważna krytyka, wydawnictwa, uczelnie plastyczne, główne organa mecenatu państwowego, prestiżowe imprezy wystawiennicze, a więc to wszystko, co w ogromnym stopniu decyduje o rytmie i hierarchiach ruchu artystycznego, skupiało się, w najlepszych latach Kononowicza, w Warszawie i Krakowie. Artysta działający w bezpośrednim zasięgu tej maszyny miał większe szanse uzyskania na zwiastka, niż jego kolega z prowincji, legitymujący się podobnym jakościowo dorobkiem twórczym. Po

wie rozwojowej. Dla środowisk opiniotwórczych był więc, głównie po roku 1956, kontynuatorem, kimś, kto na pewno zasługuje na okolicznościową wianuszkę kwiatów, na szacunek należny zabytkom, na złożenie w muzeum w charakterze dokumentu młodszej epoki, na niewiele chyba więcej. Wtedy ceniono pionierów, choć niejednego z ich wątle było ko więzy łączyły z autentyczną awangardą. I to jest kolejny powód, dla którego „nie windowano na piedestał” kazimierskiego artysty.

Może jednak, mimo wszystko, byłoby inaczej, gdyby Kononowicz miał legendę na przykład Jana Cybisa, któremu na początku lat pięćdziesiątych odebrano prawo nauczania w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, by nie zaszczerpał studentom „zachodniego formalizmu”? „Bosy”, owszem, też miał legendę, lecz stanowiła ona mieszaninę prostych konieczności życiowych z niegdysiejszym mitem artysty-cygana, co to w łachach chodził, gwiździe na wszystko, absytem zalewa robaka i drażni lepsze towarzystwo nieumiejętnością spożywania ślimaków oraz krabów. Chadzanie w takiej aureoli mogło budzić żywe emocje wśród studentów i inteligencji pracującej, lecz trudno przypuszczać, by na dłuższą przykuwało uwagę ludzi znających się na rzeczy, którzy mieli za sobą doświadczenia lat 1944—1956. W legendzie Kononowicza brakowało momentów spektakularnych, zabarwionych treścią polityczną lub tradycją zmagania awangardy o prawo do suwerennej kreacji, momentów tak mocno działających na środowiskową skalę ocen po październiku.

A poza tym Kononowicz miał pecha. Samodzielna twórczość rozpoczął w latach trzydziestych, a więc w okresie szczególnie sprzyjającym takim jak on malarzom, obdarzonym wyjątkowym instynktem kolorystycznym. Stopniowo odchodząc od nauk Kowarskiego w kierunku swobodniejszej kompozycji barwniej, został zauważony przez poważną krytykę, która często i na ogół pochlebnie wyrażała się o obrazach członka „Zwornika” i „Przymiatu”. Jurorzy także dostrzegali prace Kononowicza. Na X Salonie Instytutu Propagandy Sztuki w Warszawie, otwartym w listopadzie 1938 roku, przyznał mu nagrodę prezesa Banku Gospodarstwa Krajowego w wysokości 500 zł za kompozycję olejną „Kopanie ziemniaków”. Zwrotny uwagę: wśród laureatów innych nagród tej wystawy znaleźli się tacy wybitni malarze, jak Jan Cybis i Tytus Czyżewski. Krótko mówiąc, już przed wojną „Zwiast” należał do artystów cenionych w kraju.

Ciągle, przecież była to osobowość twórcza in statu nascendi, zmienna i potykająca się w drodze do tożsamości co również odnotowała krytyka, a nawet Józef E. Dutkiewicz, konserwator zabytków i malarz, który w 1939 roku pisał o sztuce kolegi, że: „Wiele w niej niepewności, zwątpień, a nawet nierówności”. Zdanie to pochodzi z komentarza do katalogu ostatniej przed wojną wystawy indywidualnej Kononowicza a znane mi jest tylko z korektorskiej odbitki drukarskiej, na której skreślono ołówkiem końcowy fragment opinii Dutkiewicza o pracach autora „Teki Zamojskiej”: „Toteż — niniejszy do-

KRONIKA

• „Solidarność” ogłosiła strajki w szkołach ponadpodstawowych Lublina, protestując przeciwko powolnej realizacji wielu postulatów socjalno-bytowych środowiska, domagając się ustąpienia nowego Kuratora Oświaty i Wychowania, długoletniego zresztą pedagoga i prawnego człowieka. Stanowisko w sprawie strajków zajęła Egzekutywa KW PZPR w Lublinie, minister Oświaty i Wychowania (który nie dopatrzył się racjonalnych podstaw do zmiany kuratora), władze miejskie i okręgowe ZNP — Oświata. Z okazji dramatycznych wydarzeń — każde takie zbieżnie na terenie szkół należy uznać za dramatyczne — w mieście przebywał wiceminister Z. Hussa, który spotkał się z wojewodą i poszerzonym prezydium ZNP — Oświata. Dodajmy, że w niektórych liceach członkowie tego związku poparli strajk.

• Zgodnie z zapowiedzią sprzed kilku miesięcy, trwa śledztwo w sprawie podwyższenia standardów w niektórych mieszkaniach na zamojskim Starym Mieście, przeznaczonych dla osób zajmujących swego czasu wysokie stanowiska w administracji państwowej i innych

organach władzy. Polepszenie warunków życia dla tych ludzi kosztowało ogółem 4,7 mln zł. Ponadto Prokuratura Wojewódzka w Lublinie kontynuuje dochodzenie w kilka innych sprawach mieszkaniowych, m.in. w tych, które zaistniały w spółdzielni „Kolejarz”.

• Taksówkarze znów demonstrowali na ulicach Lublina, kompletnie i przez pięć godzin dezorganizując ruch na ważnych arteriach śródmieścia; w al. Zygmunto-wskich, Świerczewskiego i przy tzw. klinie. Na trasie E-61 uwieczniono w ten sposób, ustawiając taksówki w poprzek jezdni, wiele autobusów i trolejbusów MPK. Powód wystąpienia: brak etylny 94. Przy okazji informujemy, że poważne trudności z nabyciem paliwa obserwuje się w całym kraju.

• W lubelskim BWA coraz częściej gloszą swe przekonania zwolennicy czy zyczliwi obserwatorzy tzw. działań w przestrzeniach alternatywnych, m.in. Jan Świński, Alieja Kępińska (autorka przedwójnej książki pt. „Nowa sztuka, sztuka polska w latach 1945—1978”), pt. Stefan Morawski, który kiedyś spiralił się mocno z poglądami A. Malraux, teraz zaś (18 listopada) mówił na temat: „Sens i bezsens sztuki — dyktant cywilizacyjny”.

• Studencki dyskusyjny klub filmowy „Bariera” urządził interesujące seminarium pt. „Społeczne niepokoje kina RPN”. Podczas imprezy pokazano dziewięć obra-

zów, autoryzowanych przez tak znanych reżyserów, jak Werner Herzog czy Aleksander Kluge.

• Stowarzyszenie Artystyczne „Gardzienice”, które ma swój sposób również działa w przestrzeniach alternatywnych, zyskując na tym terenie wysoką pozycję w Polsce, urządziło w swej siedzibie pod Piaskami ciekawy spektakl, inspirowany „Dziadłami” Mickiewicza. Tytuł przedstawienia: „Gusła”.

• W Lublinie zlikwidowano 27 przystanków autobusowych MKP, co zupełnie zaskoczyło pasażerów. Powody: niedobory benzyny oraz zmęczenie kierowców zbyt bliskimi odległościami między postojami. To ostatnie wyjaśnienie nieco zdumiewa, jako że w dużych miastach europejskich czy amerykańskich wiadome odległości są bardzo krótkie, lecz kierowcy nie domagają się zmiany sytuacji, bo wiedzą, iż pracują dla pasażerów i dlatego nim mają co jeść.

• Około 1200 koncertów w kraju i za granicą dał Zespół Pieśni i Tańca Akademii Rolniczej, który istnieje już 30 lat. Zespół liczy dziś 140 osób. Założył go i przez długi czas prowadził Józef Dzik, którego dzieło kontynuują: Zofia Toruń i Jan Pogonowski.

